

aleje 3

WYDAWCA: WYDZIAŁ KULTURY MIASTA CZĘSTOCHOWY
ADRES: AL. POLSKICH 10, 41-200 CZĘSTOCHOWA
TEL.: 77 44 11 111

Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy





Marian Kępiński - Droga

aleje 3

Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy

**Pismo finansowane
przez Urząd Miasta Częstochowy**

Wydawca

Biblioteka Publiczna
im. dr. Wł. Biegańskiego
w Częstochowie
Al. Najświętszej Maryi Panny 22
42-200 Częstochowa
Tel. 034/ 360-56-28
www.biblioteka.czyst.pl

Redakcja

Aleje NMP 22
42-200 Częstochowa
Tel. 034/ 360-56-28
aleje3@op.pl

Teksty niezamówione nie będą zwracane.
Zastrzegamy sobie możliwość opracowania
i skracania przysłanych materiałów.

Poglądy Autorów nie zawsze
odzwierciedlają poglądy Redakcji

Red. Naczelny

Marian P. Rawinis
Tel. 0505-666-486
mprawinis@poczta.onet.pl

Skład i łamanie

Krzysztof Klaus

Druk i oprawa:

Sowa - druk na życzenie
www.sowadruk.pl
tel. (0-22) 431-81-40

W ostatnich latach sypnęło konkursami na artystów. Programy w stylu Idol, Mam talent, umiem śpiewać, tańczyć na lodzie itd., przygotowywane zwykle jako wielkie show, cieszą się uznaniem publiczności i ogromnym zainteresowaniem młodych adeptów, do występów ustawiających się w tasiecowych kolejkach. Castingi, same w sobie będące zresztą programami rozrywkowymi, wyłaniają nie tylko tych, którzy rzeczywiście mają talent (rzadko), ale i takich, którzy talentu nie mają a jednak dobrze zostaną przyjęci przez widzów (często). Ci drudzy są nawet bardziej potrzebni realizatorom, ponieważ w programie tv w znacznej mierze chodzi o rozbawienie publiczności, często kosztem potencjalnego artysty. Łatwo więc znaleźć się na scenie z powodu tuszy, nietypowego zarostu albo skrzekliwego głosu, by następnie – wobec ryku publiczności w wielkiej sali, przy światłach i kamerach - łatwo uwierzyć w swoje nieprzeciętne zdolności. Zwłaszcza zaś młodym wydaje się, że droga do kariery jest prosta, a sama kariera zależy właściwie od krótkiego występu w telewizji i w ogóle od przypadku. Mało który młody człowiek dowie się podczas eliminacji do podobnych konkursów, że aby zaistnieć naprawdę, trzeba przede wszystkim pracować. Któż chciałby słuchać banałów, że sukces odnosi się dzięki ciężkiej i wytrwałej pracy, kiedyś nazywanej mozołem, czyli codziennym wdrapywaniem się na szczyt. Adepti szybkiej kariery jeszcze rzadziej dopuszczają do siebie refleksję, że uznanie tłumów jest bardzo kapryśne, trwa chwilę, a potem zamienia się w całkowite zapomnienie, bolesne i bardzo przykre.

Amatorom, którym się wydaje, że już po jednym występie trwałym trzy minuty, są wielkimi artystami, wtorują niestety prawdziwi artyści. Na festiwalu piosenki śpiewają aktorzy, którzy niekoniecznie umieją śpiewać lub grać na instrumentach, na dokładkę odbierając kasę prawdziwym śpiewakom i muzykom. Dzisiejsza łatwość występu w telewizji czy wydania płyty powoduje też, że płyty z nagraniami piosenek w wykonaniu dziennikarzy, lekarzy, woźniów czy inne osoby publiczne, kreuje się w mediach na wydarzenia artystyczne, co w efekcie powoduje, że rośnie liczba tych, co się zadowalają mamrotem wykonawców-amatorów.

Droga do sukcesu w kulturze, uznania wśród publiczności, melomanów czy czytelników, raczej nie jest usłana różami, co można przeczytać we wszystkich wywiadach z artystami. Opowiadają oni o ciężkiej pracy, licznych rozczarowaniach i zawodach, zszarganych nerwach i wielkim wysiłku. Czasami wspominają też o przypadkach, które pomogły im zaistnieć – trafili na dobrego redaktora, życzliwego krytyka etc. Zawsze jednak to nie tyle przypadek spowodował, że zostali sławni i/lub bogaci, ale przede wszystkim ich dzieło, piosenka, obraz, książka, powstałe i trudzie i w znoju. Gdyby bowiem nie było dzieła, nie pomogłoby adeptowi żadne przypadkowe spotkanie z rzutkim wydawcą czy właścicielem wytwórni płyt. Z wywiadów z artystami zapewne wynika nieco więcej, niż z wywiadów z tymi, co się za artystów uważają po jednym występie w tv, ale zapewne mało kto czyta te pierwsze, a jeszcze mniej liczni próbują zastosować wyczytane tam rady. „Więcej światła!” – powiedział J.W. Goethe na łożu śmierci. Prawdopodobnie nie miał na myśli programu tv.

Marian Piotr Rawinis

Prawda jest na dnie studni

POKORNY SŁUGA TAJEMNICY

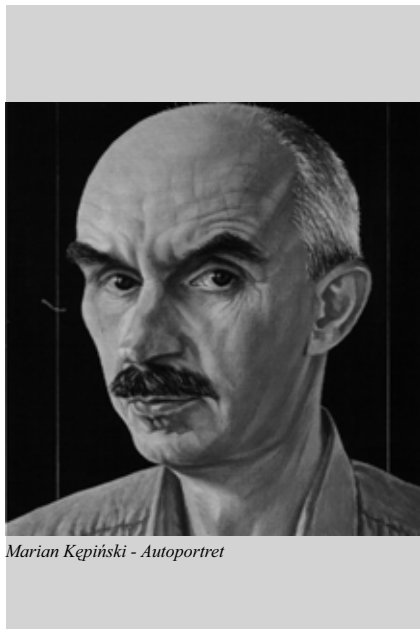
O malarstwie Mariana Kępińskiego

Droga, kamień, mur, drzewo. Powtarzają się motywy, w różnych konfiguracjach i gamach barwnych, z całym bogactwem symboliki. Kamienie noszą na sobie, oddane z fotograficzną precyzją, dziwne ślady, jakby powstałe od uderzeń pocisków, wyryte zagadkowe zapisy. Leżą na trawie w świetle poranka, w mroku nocy, w upale południa. Albo zatrzymują się w ruchu nad powierzchnią ziemi, pokonując siłę ciężkości. Zawieszono w bezkresie, unoszą się warowne Wyspy drzew na błękitnozielonym oceanie, inne Wyspy świecą oranżem urwistych skalnych brzegów, ludzkie miary próbują odmierzyć ośnieżone masywy gór. Ponad góry wlatuje biały ptak. Asfaltowa droga ze znakami, malowanymi pasami, jak to zwykle na trasie, nabiera metafizycznej wymowy, biegnie w Nieznane. Każdy szczegół nieprzeladowanej, zrównoważonej, ściśle uporządkowanej kompozycji, ma sens. Dążenie do ideału przejawia się w harmonii. Artysta tworzy obrazy rzeczywistości „widzianej i wyobrażonej”, porusza się w kręgu wybranych obiektów, nadaje im nowe znaczenia.

W malarstwie Kępińskiego szczególnie miejsce zajmuje pejzaż; jest tym, co się określa „pejzażem wewnętrznym”: wznacza szczególnego rodzaju uwewnętrznienie, które zawsze jest obecne, także tam, gdzie wydaje się na pozór, że mamy do czynienia przede wszystkim z notatką rzeczywistości, fascynacją pięknem natury - piaszczystej drogi wśród pól, zieleni drzew przeglądających się w taflach wody, ciszey księżycowej nocy.

Mniej znam martwe natury i portrety. Jednak szczególnie utkwiła mi w pamięci oszczędna martwa natura jurajska, z gałązką dzikiej róży na przykrytym obrusem stole i świetny rysunkowy autoportret.

Artysta wnika w problematykę koloru i światła. Kolor jego obrazów dźwięczy w szlachetnych czystych harmoniach. Opanował do perfekcji umiejętność sugestywnego odtwarzania materii przedmiotów, czy to będzie kamienna płyta, skalny odłamek, czy rzucający blaski kryształ. Po mistrzowsku maluje cienie, tak te na przedmiotach, jak i te przez nie rzucone. Geometryczne układy i bryły - stożki, ostrosłupy, wielościany, kule, wprowadzone w pejzaż, odrealniają go. Te bryły są proste, nieraz jednak artysta



Marian Kępiński - Autoportret

tworzy zagadkowe formy, niby kosmiczne budowle, przeniknięte podskórnym niepokojem schrony. W łącznym pięknie pejzażowej scenarii i w nią integralnie włączone, pojawiają się nieraz elementy najeżone, kolczaste, niby narzędzia tortur. Puste przestrzenie, pozbawione obecności człowieka, a nawet śladów jego działalności - bo bryły i budowle na obrazach nie wydają się ludzkim dziełem - nasuwają na myśl osvajanie samotności w świecie, w Kosmosie, we własnej podświadomości.

A przecież Zielona Studnia to nie jedna z „Zatrutych studni” Malczewskiego. Może kryje żywą wodę.

Niezwykły klimat emanuje z gwaszów, temper, akryli, z budowanych w nich nadrealnych przestrzeni. Malarstwo Mariana Kępińskiego niczym ożywczy strumień przenika w świadomość widza. Doskonałość techniczna, budząca podziw maestria, wirtuozeria warsztatu nie jest celem samym w sobie, nie ma nic z próżnego popisu. Artysta jest sługą Tajemnicy.

Władysław Ratusiński

Marian Kępiński, profesor Akademii Sztuk Pięknych im. Władysława Strzemińskiego w Łodzi, w Częstochowie od lat jest stałym gościem, a to od czasu pamiętnych plenerów jasnogórskich o. Jana Golonki na 600-lecie Cudownego Obrazu Matki Bożej na Jasnzej Górze, gdzie się poznaliśmy. Potem zaprosiłem go do udziału w "Jurajskiej Jesieni" i w kolejnych ogólnopolskich wystawach sztuki, które wraz z misteriami ekumenicznymi przygotowywałem w gościnnym kościele ewangelickim w Częstochowie oraz w Miejskiej

skiej Galerii Sztuki. Poprzednią indywidualną ekspozycję miał w tej galerii kilkanaście lat temu. Obecna, pt. „Widziane, wyobrażone”, odbywa się na zaproszenie Tadeusza Wróby, prezydenta Miasta Częstochowy, który jest wielbicielem sztuki Kępińskiego i opatrzył katalog słowem wstępnym.

Interpretatorem, niejako oficjalnym, twórczości Mistra jest jego żona, Maria, filolog polski, autorka esejów o malarstwie.



Fot. Leszek Pilichowski

Truchcikiem po galeriach

Tomasz Sętowski święcił dwudziestopięcioletnie pracy twórczej na wernisżu retrospektywnej wystawy zorganizowanej w Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie. Licznie zgromadzona publiczność mogła podziwiać wiele znakomitych prac z różnych okresów jego twórczości, począwszy od podyplomowych obrazów z końca lat 80., aż po ostatnie realizacje. Ponad połowa z prawie pięćdziesięciu kompozycji malarskich została wypożyczona od osób kolekcjonujących jego niecodzienne dzieła o surrealistycznej proveniencji, z gatunku - jak sam powiada - realizmu magicznego. Symbolika tych fantastycznych wizji jest różnorodna i bogata w asocjacje. Są tam zarówno piękne i grzeszne kobiety - nagie i ubrane w architektoniczne stroje i nakrycia głowy. Pojawiają się również postaci o androgynicznych cechach. Ludzie półzwierzęta o głowach świni, ptaka czy kota. Hybrydyczne stwory odbywają jakieś rytualne gody w niemożliwych architektonicznie przestrzeniach rodem z Pirasisinięgo. Przenikające się światy i rzeczywistości opowiadają jakby w literacko - malarskiej kompozycji szkatułkowej zawieranie się i rozwieranie się w sobie. Trochę tak jak w słynnym „Rękopisie znalezionym w Saragossie” Wacława Potockiego. Są też na wystawie wczesne „Zatopione światy”, architektoniczne Atlantydy. Bohaterowie opętani namiętnościami, hazardem, seksem i żądzą pieniądza, tworzą na pozór wymaginywany teatr wzięty z naszej rzeczywistości, choć ironicznie i groteskowo przerysowany. Artysta stworzył własne „Muzeum Wyobraźni”, prywatną instytucję promującą sztukę fantazy. Wypowiada się również w rysunku, grafice, rzeźbie. Próbuje stale swoich sił w performatycznych założeniach, projektach o teatralizowanym charakterze. Wracając do ekspozycji, trzeba powiedzieć, że została starannie przygotowana, z przysłowiowym „oddechem” zakomponowana. Pobudza wyobraźnię, zaciekawia swoją artystyczną wielowarstwowością. Kto nie widział, ten trąba.



Fot. Leszek Pilichowski



Fot. Leszek Pilichowski

V Jubileuszowy Plener Artystyczny ISD Huty Częstochowa zgromadził do twórczej wypowiedzi 26 malarzy, grafików, rzeźbiarzy i fotografików. Wernisaż wystawy poplenerowej odbył się w przeddzień Dnia Hutnika, 8 maja, w Sali Reprezentacyjnej Ratusza. Moim zdaniem, plener sterowany przez komisarza Mariusza Chrzęstka, jest bardziej już imprezą propagandową niż artystyczną. Prawie ten sam garnitur dobrych i znakomych twórców powiela jednak komicznie widowiskowość huty. Można powiedzieć za poetą i bardem „Salonu Niezależnych” Jackiem Kleyfem: „Stal się leje, moc truchleje”. Wiele interesujących prac, np. Joli Jastrząb, Beaty Bebel czy Roberta Sękiewicza, zostało niestety przytłoczonych reprezentacyjnością ratuszowej sali oraz szoł organizatorów. Było mocno zabawnie.

Piotr Staszczuk i Sebastian Kotkowski zaprezentowali równocześnie swoją malarską twórczość na krótkiej wystawie w Konduktorowni częstochowskiej Zachęty. Jeden i drugi artysta starannie przygotowali się do indywidualnych ekspozycji pokazując swoje najnowsze dokonania.

Kompozycje Piotra Staszczuka w sposób zamierzony są oknami na rzeczywistość, jej ikonami – portretami zwykłych ludzi w zwykłym otoczeniu. Idea portretu koncentruje się u Staszczuka na sylwetowej figurze postaci w celowo zatrzymanym ruchu, w płaskiej lub płytkiej przestrzeni malarskiej. Te wielkoformatowe przedstawienia osadzone są w egzystencjalnym nastroju, oddziałują kompozycyjnymi podziałami i zgeometryzowanych płaszczyzn kolorystycznych – zwykle chłodnych w tonacji, lecz pobudzonych różnicowaniem w określonej skali temperaturowym zestawieniem kolorystycznym.

Natomiast obrazy Sebastiana Kotkowskiego, twórcy wciąż poszukującego, otwierającego nowe malarskie światy, frapują nie tylko swoją abstrakcyjnością czy kolorystyczną jakością. Są też te obrazy magiczną opowieścią o samym malarstwie. Wypełnione płasko położonym kolorem, rozrysowane ołówkiem koronkowo-linearne płaszczyznowe struktury tworzą jakąś pierwotną przestrzeń malarską. Przedstawiony na wystawie cykl kilkunastu prac stworzył autorską „Droge Krzyżową” o innym znaczeniu ekspresyjnym charakterze. Poszczególne stacje tej Drogi są nie tylko malarskim wyobrażeniowym współczesnym komentarzem, ale w sensie kreacyjnego założenia związanego z przyjętą

pozycja kierunku spojrzenia jakby „z lotu ptaka” czy widzenia pionowopiramidalnego pasywnego ludzkiego dramatu odkupieńczej śmierci Jezusa przez ukrzyżowanie. Stają się te stacje wyrazem nowatorskiego potraktowania tego tematu, zasadniczego dla każdego artysty

Elżbieta Siwik, znana i ceniona projektantka z zakresu grafiki użytkowej, przedstawiła w Galerii Ośrodka Promocji Kultury „Gaude Mater” zestaw fotografii z cyklu „Rezonans”. Fotografy te zaprezentowane zostały w dużym formacie i są zapisem cyfrowym jakby wybrzmienia specjalnie poruszonej rzeczywistej przestrzeni. Artystka, posługując się aparatem bezpośrednio i spontanicznie, używając funkcji wielokrotnej ekspozycji, tworzy rozwibrowane, szalenie zrytmizowane i zagęszczone nimi fotograficzne obrazy, kompozycje o charakterze otwartym. Nawarstwiający się, znajdujące w plenerze realia, tworzą swoistą pulsującą żywą tkankę żywiołu światła, prześwietlenia czy sumowania się przestrzeni w wyobrażeniową przestrzeń teleskopową, którą innymi malarskimi metodami kreował niezapomniany Jackson Pollock.

W Galerii OPK „Gaude Mater” Teresa Stankiewicz z Krakowa przedstawiła w ramach programu Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Sakralnej „Gaude Mater”, ponad dwadzieścia obrazów zrealizowanych w latach dziewięćdziesiątych XX wieku i tych nam najbliższych. Prace powstały w wyniku licznych peregrynacji do miejsc kultu powiązanych z religią chrześcijańską, choć nie tylko – bowiem wiele przedstawień malarskich wyobrażało piękno europejskiego krajobrazu kulturowego, również polskiego. Było też kilka dzieł związanych z tematem Ukrzyżowania, znanego z wcześniejszej jej twórczości. Artystka, działająca przede wszystkim w dziedzinie malarstwa od ponad pół wieku, po raz pierwszy wystawiła swoje prace w Częstochowie w r. 1991 w czasie I Triennale Sztuki „Sacrum”. Malarka znana jest również z realizacji malarstwa architektonicznego i witraży w polskich kościołach. Syntetyczne płaszczyznowe kompozycje wewnętrznie organizowane są symbolicznym znakiem ludzkiego bytu w panoramicznym bądź pionowym polu pejzażu widzianego z góry.

Marian Panek

Zauważyliśmy też wystawy w Konduktorowni:

Danuty Żak



Fot. Leszek Pilichowski

Szymona Motyla



Fot. Leszek Pilichowski

KLUCZ-ymy po Częstochowie

XXI Plener Miejski

Sentymentalne podróże po Częstochowie.
 Patrzeć przez dziurkę od klucza.
 Docierać do miejsc niedostrzeganych.
 Przywoływać wspomnienia.
 Powracać do miejsc nieobecnych.
 Zamykać.
 Otwierać.



Fot. Leszek Piłichowski



Fot. Leszek Piłichowski

MUZYKA

Festiwal „Gaude Mater”



Fot. Leszek Pilichowski



MUZYKA



Inwazja papugoludzi

Janusz Piernikarski

Pytanie: czy często w naszym mieście występuje sławny zespół rockowy z lat 70., którego utworów cała Polska słuchała w audycjach Piotra Kaczkowskiego i nagrywała z radia na magnetofony szpulowe? Nie. Zespoły takie występują zwykle w Warszawie, Katowicach, Krakowie, ewentualnie w Poznaniu albo w Bydgoszczy; gród pod Jasną Górą omijają zaś po dużym łuku. Zwykle ma to związek z infrastrukturą, a raczej z jej brakiem – nie kojarzę sobie w Częstochowie sali odpowiedniej do zorganizowania dużego koncertu rockowego. Jak się jednak okazuje, dla koncertu niedużego warunki istnieją.

Ktoregoś dnia zobaczyłem na murze, w Krakowie, plakat. Na plakacie charakterystyczna postać pilota z głową papużki falistej, a obok cała kolumna nazw miast. O, myślę sobie, zespół Budgie ponownie koncertuje w Polsce, która go sobie umiłowała. Przyjrzałem się bliżej. Nawet do Białegostoku dotarli? Po chwili doznałem prawdziwego szoku: wśród miast, w których grupa miała koncertować, znalazła się także Częstochowa. To ci dopiero wydarzenie! Tylko ilu częstochowian kojarzy, co to jest Budgie...

Walijskie trio było u nas bardzo popularne w latach 70. Stało się tak za sprawą niezastąpionej radiowej Trójki, dzięki której polscy słuchacze mieli w miarę dobre rozeznanie w rocku w czasach, gdy zagranicznych płyt nie dało się kupić. Stosunkowo mało znany i wręcz pogardzany w rodzimjej Wielkiej Brytanii, zespół Budgie zyskał w Polsce liczne grono fanów. Nasza publiczność jako pierwsza poznała się na tym wykonawcy już od pierwszej płyty, a takie utwory, jak „Parents” czy „Breadfan” stały się klasykami na równi z dziełami Deep Purple czy Uriah Heep.

Już w 1982 roku grupa zagrała w Polsce 16-koncertową trasę! Wtedy jeszcze nie dotarli do Częstochowy, natomiast trzy lata później się rozpadli. Burke Shelley reaktywował zespół w 1995 roku. Początkowo Papużka prowadziła tryb życia typowych rockowych dinozaurów, to znaczy – objeżdżała świat ze starymi przebojami, ale trzy lata temu zdobyła się na nagranie premierowego albumu; zdaniem znawców – dość nowoczesnego, a przy tym zachowującego charakterystyczne cechy stylu.

Trzeba od razu zaznaczyć, że obecne Budgie nie jest zespołem w rodzaju grasującej kilka lat temu po Polsce grupy udającej Smokie, ani też kolektywem

takim jak The New Animals czy Electric Light Orchestra Part II, gdzie z oryginalnego składu pozostał tylko perkusista. Na czele zespołu stoi Burke Shelley, tak samo, jak przed laty. Perkusista Steve Williams gra w Budgie jeszcze od końca lat siedemdziesiątych. Nowym członkiem grupy jest Craig Goldy, ale to też nie jest złotodział ani człowiek znikąd: miłośnicy hard rocka i heavy metalu znają go jako gitarzystę u samego Ronniego Jamesa Dio.

No dobra, ale co oni właściwie grają? Muzyka Budgie to hard rock oparty na solidnych riffach gitarowych, dynamicznych pochodach basowych Burke’a Shelleya oraz jego charakterystycznym wysokim głosem. Do stylu zespołu należały też odlotowe tytuły piosenek, w rodzaju *You’re the Biggest Thing Since Powdered Milk* czy *In the Grip of Tyrefitter’s Hand*. Zespół nigdy nie należał do ortodoksów i pozwalał sobie na urozmaicenia stylistyczne. Papużkę powszechnie oskarżano o... papugowanie, i rzeczywiście, utwory Budgie zdradzają silną inspirację czułowymi grupami początku lat 70. Przy tym jednak zespół Shelleya wypracował stylistykę dość charakterystyczną. Można się nawet pokusić o stwierdzenie, że wymyślił parę elementów, wówczas niedocenionych, a potem stosowanych powszechnie w ciężkim rocku. Oprócz Polaków fanami Budgie byli też chłopcy z Kalifornii, którzy w latach 80. założyli Metalikę. Jeszcze 10 lat temu Lars Ulrich i spółka zaczynali koncerty od *Breadfan*.

Częstochowski koncert miał miejsce w klubie „Tramwaj” przy al. Niepodległości (na rogu Bór). Lokal jest położony co prawda kawałek od centrum, ale zgodnie z nazwą ma bardzo dobre połączenie z resztą miasta – niemal tuż po wyjściu z klubu wchodzi się na przystanek. „Tramwaj” nie należy do dużych sal, ale okazał się wystarczający. Sala napełniła się gdzieś tak w połowie, przy czym pod sceną tłok był największy, a im bliżej drzwi, tym luźniej. Mogło być około 150 osób. Mało? Pamiętajmy, że po pierwsze, Budgie działa na poboczach rynku muzycznego, a po drugie, częstochowski koncert był jednym z jedenaestu. Na polskiej trasie zespół występował wyłącznie w klubach; co ciekawe, ominął Warszawę. Przekrój wiekowy publiczności był szeroki: od uczniów szkół średnich (a nawet z podstawowych mógł się ktoś trafić) do takiej trochę starszej młodzieży, pod sześćdziesiątkę. Wyglądało na to, że na koncert przyszło nawet kilka rodzin.

Miało się zacząć o 20, ale koncert uległ opóźnieniu. Ścisłej mówiąc, spóźnił się lider, który w dodatku, jak nam mówiono, miał problemy z gardłem. Wcale nie było tego słychać. Shelley dysponuje dziś głosem niższym niż dawniej, ale ciągle wysokim. Za-

chowal też charakterystyczną manierę wokalną, a jeśli nawet czasem głos mu się łamał, można to było równie dobrze podciągnąć pod znaną z nagrań Budgie „histeryczna” interpretację. Z wyglądu Shelley jest małym faceciem z gitarą basową niewiele mniejszą od niego. Nie nosi już ogromnych okularów, jak w latach 70. Ma już 59 lat, a z bliska, przez pobrużdżoną twarz, wyglądałby na ponad siedemdziesiąt, tyle, że jeszcze nie siwieje. Jest bardzo ekspresyjny, chociaż powierzchnia sceny „Tramwaju” nie pozwala na rozwinęty ruch sceniczny.

Najbardziej nieruchomy był oczywiście perkusista Williams (łysy, ale z bródką), który zasiadał na podwyższeniu z bębnami, można więc do woli studiować jego grę. Gitarzysta Craig Goldy, wyglądem przypominający swego byłego pryncypała, oprócz wygrywania riffów i solówek zajmował się showmanstwem: dyrygował publicznością, przybił ją piątki, a nawet pozował do zdjęć. Co prawda nagrywanie, a także fotografowanie z lampą błyskową było zabronione, lecz widocznie muzycy nie mieli nic przeciwko fotografowaniu bez lampy.

Zaczął się mocnym akcentem, od utworu pod wymownym tytułem *Panzer Division Destroyed*. Potem rozpoczęła się hardrockowa uczta. Muzycy zapropowowali parę kawalków z ostatniej płyty *You're All Living in Cuckooland*, jednakże dominował repertuar starszy, głównie z klasycznego okresu. Może tylko ze dwa utwory pochodziły z najślabszych w historii zespołu lat 80. Nie zabrakło klasyków o „kosmicznych” tytułach, jak *Crash Course in Brain Surgery*, *Hot as a Docker's Arm-pit* czy *Nude Disintegrating Parachutist Woman*. Aplauzem częstochowska publiczność przyjęła największy hit zespołu, *Parents*, zaprezentowany w cięższej wersji. Jak na mój gust, Goldy zbyt manierycznie wykonał główną zagrywkę: zamiast wręcz santanowskiej rozlewności (jak było w oryginalnej) wyciosał ją na modłę heavymetalową. Spokojne utwory były tylko dwa,

i to z dynamicznym rozwinięciem: *I Turned to Stone* oraz finałowy *Napoleon Bona – Part 1 & Part 2*.

Po tej piosence zespół zszedł ze sceny, ale publiczność nie dała mu tak łatwo odejść i wymusiła bis. Zresztą zespół był na to przygotowany, bo czyż może być koncert Budgie bez *Breadfan*? Co prawda Shelley był już zmęczony i wokalnie robił bokami, ale publiczność była usatysfakcjonowana. Przekonałem się, że młodzi ludzie, którzy powinni słuchać Slipknota czy Acid Drinkers, znają tekst przeboju Budgie na pamięć. Zamiast części balladowej w *Breadfan* pojawiła się – chyba trochę improwizowana – wstawka z fragmentem *Whiskey River* i solowym popisem Goldy'ego, który przechwalał się, jak szybko potrafi grać.

Na uwagę zasługuje dobre nagłośnienie: proporcje były wyważne, a przez niemal cały koncert wokalistę dało się słyszeć. Nie doszło do sytuacji, która może położyć najlepszy występ – że instrumenty zlewają się w ścianę dźwięku, zza której nie słychać śpiewu. Dobra robota, nagłośnieniowcy!

Niektórzy mogą się zżymać, że jeśli już przyjedzie do Częstochowy znany zachodni zespół z lat 70., to jest to zespół drugoligowy. Może i tak, ale w przypadku Budgie mamy do czynienia z drugą ligą na światowym poziomie. Są to również ludzie, którzy nie zwracają uwagi na mody ani na sławę i grają to, co im wychodzi najlepiej. Nie ma więc sensu specjalnie filozofować: to dobry koncert był, i już.



Rzeczywistość i metafora

z **Michałem Tkaczyńskim** - reżyserem filmów dokumentalnych i teledysków
rozmawia **Dominika Radkowska**

Dominika Radkowska: Skończyłeś Liceum Plastyczne, Wydział Wychowania Artystycznego Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie. Co i w którym momencie zdecydowało o Twoim zainteresowaniu filmem?

Michał Tkaczyński: W trzeciej klasie liceum mieliśmy z kolegami kamerę – jedną, potem drugą – i zaczęliśmy bawić się filmami. Na początku były to jakieś żartobliwe filmiki, niby-reklamówki. A w pewnym momencie pomyśleliśmy o wzięciu udziału w ogólnopolskim konkursie „Teraz ja!” organizowanym przez OKF, w Częstochowie. Wtedy zrobiłem pierwszy film z Piotrkim Kanieckim i ku naszemu największemu zdziwieniu – choć nie to, żebyśmy nie wierzyli we własne siły – zdobyliśmy nagrodę specjalną. Była nią asystentura przy filmie Łukasza Wylężałka, który był przewodniczącym komisji konkursowej i fundatorem tejże nagrody. To zaproszenie zostało zrealizowane dopiero kilka lat później. Piotrek studiował już we Wrocławiu na ASP i nie mógł uczestniczyć w zdjęciach, więc tylko ja asystowałem przy filmie. I od tego się zaczęło, bo przy Łukaszu bardzo dużo się nauczyłem, poznałem ludzi filmu – reżyserów: Wajdę, Zanussiego, Kawalerowicza, Hasa, Marczewskiego, aktorów. A czas, który upłynął między zdobyciem nagrody a jej zrealizowaniem był wypełniony robieniem filmów, które również zdobywały nagrody na konkursach i festiwalach w Częstochowie, Krakowie, w Warszawie. Pokazywałem je Łukaszwowi dla korekty. A później były zdjęcia do „Darmozjada polskiego” Łukasza Wylężałka. Ta współpraca nie zakończyła się na jednym filmie. Współpracowałem też przy filmach reklamowych, śledziłem realizację sztuk teatralnych Łukasza. Nasze drogi się potem rozeszły. Łukasz poszedł swoją drogą, ja skończyłem Szkołę Filmową. On dużo dla mnie zrobił i bardzo mu jestem wdzięczny za pokazanie całego świata filmowego.

Pamiętam Twoje wczesne etudy, jeszcze sprzed czasów Szkoły Filmowej – to były takie opowieści nieco groteskowe, czasem z nutką goryczy – których bohaterami byli bardzo prości, czasem dziwaczni ludzie, kierujący się swoją specyficzną filozofią. Skąd się bierze taki Twój rodzaj wrażliwości?

Jak się jest młodym twórcą, to takie skrajności przyciągają. Albo bardzo bogaty, albo bezdomny. Dla młodych ludzi bezdomny jest bardzo kolorowy. Ja akurat takich ludzi dostrzegałem i stawali się oni bohaterami moich historii. Zrobiłem dokument o dróżniku, który pracuje na trasie do Kłobucka. Przejedźzałem kiedyś tamtędy i dowiedziałem się, że jest tam jedyny w województwie śląskim, czy nawet w Polsce, przejazd ze szlabanem „na korbkę”. Zaciekało mnie to i zrobiłem o tym film. Potwierdzam za Krzysztofem Kieślowskim, że reżyserzy powinni zaczynać od dokumentu, bo to uwrażliwia i później łatwiej pracuje się z aktorami zawodowymi. Pracując nad dokumentem przyswajasz sobie kawałek realnego świata i jak już go poznasz, może nie tak do końca, bo to może nawet nie jest możliwe, ale jak już go poznasz, to potem z fikcyjnym światem radzisz sobie dużo lepiej.

Twoje najnowsze filmy, które oglądaliśmy w listopadzie zeszłego roku w OKF to nie tylko rzetelne technicznie i informacyjnie dokumenty, ale jest w nich też element poetycki, który towarzyszy wszystkim Twoim obrazom. Stosujesz skojarzenia, zwolnienia akcji w wtrąconych wariacjach. Czy czas odnajduje jakby echo tego Twojego sposobu odbierania i przedstawiania świata.

Poważnie? Dostrzegasz coś charakterystycznego? Faktycznie, umieszczam czasem w filmach dotyczących rzeczywistości jakieś metafory. Jednak tylko w filmach przeznaczonych na festiwale mogą pozwolić sobie na większą swobodę twórczą. Dokument telewizyjny rządzi się innymi prawami i producenci przestrzegają kanonów jego realizacji. A takim prawdopodobnie stanie się film o Krzyšku Kułaku – są plany wyemitowania go w Telewizji Polsat.

Jakbyś ujął w słowa Twoje założenia, idee przedstawienia sylwetki Jerzego Kędziora i postaci Krzysztofa Kulaka? Powiedziałaś nam o nich wiele tymi dokumentami.

Filmem o zawodniku Konfrontacji Sztuk Walki walczącym w dyscyplinie MMA (Mixed Martial Arts – Mieszane sztuki walki) – Krzysztofie Kulaku – chciałem obalić pewien stereotyp. Ludzie myślą, że zawodnicy MMA to łysi, bezmózgowi kolesie w dresach – agresywni kibice na stadionach. Jak mylnie jest to przekonanie, okazuje się, kiedy poznajemy Krzysia, który jest czołowym zawodnikiem w Europie – jest magistrem WF-u, teraz robi studia podyplomowe na drugim kierunku, ma swoją szkołę, zajmuje się modellingiem, chodzi do kina. Jest fajnym, interesującym człowiekiem. Nie zdajemy sobie również zazwyczaj sprawy z tego, jak ciężkie treningi przechodzą ci zawodnicy. Treningi dwa lub trzy razy dziennie. Każdy trening pochłania mnóstwo sił i emocji.

Jak mówi w filmie właściciel Federacji KSW Maciej Kawulski – Krzysztof w KSW Team jeżeli chodzi o serce do walki, jest numerem jeden. Jurek Kędziora jest świetnym artystą, myślę, że jednym z lepszych rzeźbiarzy w Polsce. Znamy się dobrze, pracujemy razem w szkole, do której wcześniej chodziłem z jego synem. Bartek Kędziora zwrócił się do mnie z potrzebą zrobienia filmu dla Telewizji Dubaj promującego sztukę Jerzego przy okazji jego wystawy organizowanej w tym mieście. Tak powstał ten dokument.

Potrafiśz określić obszar swoich zainteresowań, dziedziny, które Cię interesują, nurtujące problemy?

Absorbujące są historie ludzi, z których każdy jest jedyną na świecie indywidualnością i myślę, że zdarzenia z ich życia przeniesione na ekran w 90 procentach przypadków byłyby interesu-



Fot. Piotr Dłubak

jącymi filmami. Dowodem na to jest twórczość wielu reżyserów – dla mnie szczególnie Krzysztofa Kieślowskiego, który portretował sylwetki ludzkie w bardzo ciekawy sposób. Mnie także interesuje człowiek i jego życie.

Co Cię fascynowało w środku przekazu jakim jest film?

W wielu dziedzinach sztuki – malarstwie, rzeźbie, rysunku, itp. prawie wszystko zostało powiedziane. W filmie też wiele, ale film jest bardzo młodą dziedziną sztuki. Od powstania pierwszego filmu minęło dopiero 114 lat. Jakże to krótka historia, kiedy porównamy, że pierwsze malarstwo w Lascaux czy Altamirze powstało kilkanaście tysięcy lat temu. Fascynujące jest to, że film się niesamowicie rozwija. Zarówno filmy fabularne, jak fabuły połączone z animacjami, filmy fantasy z użyciem mnóstwa nowych technik. Myślę, że kino jest sztuką, która cały czas kroczy naprzód. Kiedy weszły w życie kina domowe były głosy, że ludzie nie będą już chodzić do kina. To nieprawda – ja uwielbiam chodzić do kina, choć też mam kino domowe, ale atmosfera w kinie jest niepowtarzalna i ma się świadomość, że kopii jest na przykład 100 na cały świat.

Kogo z twórców kina cenisz?

Ciężko wybrać ulubionego twórcę. Jest ich wielu. Na pewno reżyserem, który na mnie wywarł ogromne wrażenie był Krzysztof Kieślowski. Jego trylogia jest niedościgniona – szkoda, że nie dostał Oscara. To są filmy, na których będą się uczyły pokolenia reżyserów – jak pokazać człowieka i jego wnętrze. Jego obrazy mają odpowiedni klimat, podbudowany muzyką Zbigniewa Preisnera. Emira Kusturicę ogromnie lubię za jego filmowe farsy. Wiele osób nie rozumie jego wysublimowanego dowcipu. Świetnym reżyserem jest David Fincher – autor obrazów „Siedem”, „Gra”, „Zodiak”, „Ciekawy przypadek Benjamina Buttona”. Cenię także czeskich reżyserów – Miloša Formana, Jirí'ego Menzla, Jana Svěřaka. I oczywiście genialnego Romana Polańskiego. I Ridleya Scotta, który był, jest i pewnie przez długi czas będzie genialny. Bardzo lubię filmy Władysława Pasikowskiego, który od dawna nie zrobił fabuły. „Psy” uważam za (nie

cierpię tego słowa) kultowy film. Młodzież 15-16 letnia sypie teksty z tego filmu, chociaż wydaje mi się, że nie wiedzą o co w tym filmie chodzi. Jeśli chodzi o dokumentalistów – cenię dorobek Kazimierza Karabasa i Marcela Łozińskiego.

Kazimierz Kutz powiedział niedawno w rozmowie dla „Metra”, że nie interesuje go już robienie filmów i przekazuje pole do działania młodszemu reżyserowi. Tym jednak teraz w Polsce trudniej robi się filmy, bo nie stwarza się im warunków do ich produkcji. Zapewne doświadczasz tego na własnej skórze?

Tak. Kiedyś było więcej zespołów filmowych. Będąc dyplomowanym reżyserem zanosili tam scenariusz i mieli większe szanse na realizację. Teraz reżyserów jest więcej, bo jest więcej szkół. Poza tym zatrudnia się w Polsce wielu reżyserów z zagranicy, bo zarobki mamy w branży filmowej prawie takie same i np. brytyjski producent działający w Polsce woli współpracować z brytyjskim reżyserem. Więc rzeczywiście mamy utrudnione obecnie robienie filmów. Ale myślę, że najlepszy – dzięki swojemu uporowi, pracy i szczęściu – będą te filmy robić. Ja też robię filmy – wcześniej były to krótkie fabuły, one były dobre na tamten czas. Teraz chcę robić jak najwięcej dokumentów, idąc za przykładem Kieślowskiego, żeby być dobrze przygotowanym na fabuły. Można powiedzieć w zasadzie, że dzięki

Niektóre filmy Michała Tkaczyńskiego:
 krótkometrażowe fabuły: „Mały Klaus i Duży Klaus”, „Organ Fugen”, „O Orgierdzie”, „Dom”, „Trzej królowie”, „Kury”, „Kaktus”
 - Teatr Telewizji: „Wróżka”
 - dokumenty: „Nie pociarałbyk Tatr za Alpy”, krótkometrażowy film dokumentujący Światowy Złot Żydów Częstochowian”, „Tylko MMA”, „Jerzy Kędziora – rzeźby balansujące”
 - teledyski: „Świnynty Sen” i „O Tetry my moje” zespołu Rzoz

dotychczas zrealizowanym dokumentom już jestem na nie przygotowany. Filmy dokumentalne bardzo mnie fascynują i bardzo dobrze się w ich realizacji czuję.

A teledyski?

Jeszcze dla średniego pokolenia reżyserów kino dzieliło się na artystyczne i komercyjne. I popełniało się faux pas robiąc reklamówki, czy teledyski. Teraz zupełnie inaczej się o tym myśli. Robię zarówno film dokumentalny, który jest jednocześnie filmem promocyjnym dla Jurka Kędziory, jak teledyski, które są krótkimi opowieściami. Bardzo lubię robić teledyski – to takie krótkie fabułki. Mam sporo propozycji realizacji teledysków, jednak z wielu rezygnuję, bo nie satysfakcjonuje mnie robienie klipu, w którym muzycy siedzą na scenie, są filmowani z czterech

kamer i materiał jest później pocięty. Niewiele mówią o kimkolwiek takie teledyski. Kiedy decyduję się na realizację, proponuję zawsze jakąś treść, odpowiednie miejsce akcji – tak jak zrobiłem to w przypadku teledysków dla „Rzozu” z Bukowiny Tatrzańskiej. Lubię sam napisać scenariusz, żeby własnym językiem powiedzieć coś o wykonawcy.

Co masz w planach twórczych?

Przygotowuje się do nakręcenia dokumentu, którego kanwą będzie historia Żyda dbającego o koszterność potraw w kuchni Michaela Schudricha – Naczelnego Rabina Polski.

Dziękuję za rozmowę i życzę powodzenia w Twoich projektach.



Fot. Piotr Dłubak

WYSTAWA 1909

Aleksander Jaśkiewicz

Muzeum Częstochowskie

Sztuka na Wystawie Przemysłowo – Rolniczej w Częstochowie w 1909 roku

W maju mija sto lat od czasu urzędzenia w Częstochowie dużej Wystawy Przemysłowo – Rolniczej, w której uczestniczyły firmy krajowe i zagraniczne: szwedzkie, czeskie, angielskie i amerykańskie. W bogatym programie tego przedsięwzięcia odpowiednie miejsce znalazło się również dla zaprezentowania polskiej kultury. W jednym z pawilonów gościnnie występował teatr Marii Przybyłko-Potockiej, w innym mieściła się Wystawa Przemysłu Ludowego, jeszcze inny to tzw. „Dom Sztuki”.

Interesująco przedstawiała się też strona architektoniczna pawilonów zaprojektowanych przez tak znanych architektów, jak Jan Koszyc-Witkiewicz, Konstanty Sylwin Jakimowicz, K. Kalinowski, Czesław Przybylski, Henryk Gay, Jerzy Kon, Józef Gałęzowski (w 1909 r. otrzymał pierwszą nagrodę w konkursie na dwór w Opinogórze), skupionych głównie w warszawskim Kole Architektów.

Plan całego założenia opracował architekt Alfons Bogusławski, dyrektor wystawy i autor projektu pawilonu głównego.

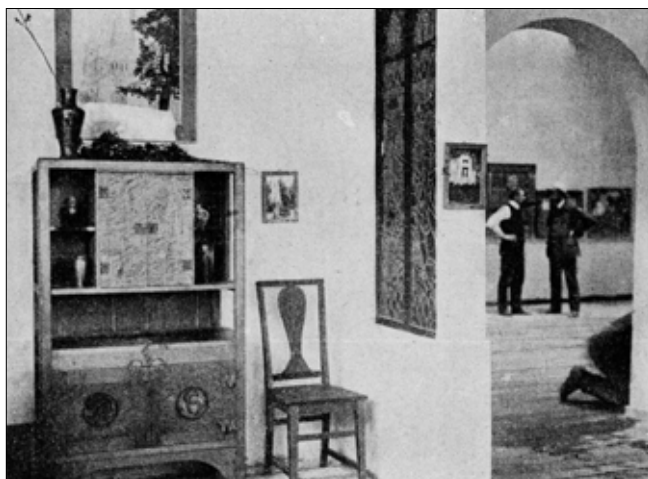
Odpowiednio do rangi wystawy przygotowano bogaty zestaw materiałów propagandowych. Na pierwszym miejscu wymienić należy starannie opracowany przewodnik – informator, liczne kolorowe i czarno-białe pocztówki przedstawiające poszczególne pawilony bądź większe fragmenty ekspozycji. Były też różnego rodzaju druki ulotne, jedwabne chustki z motywami z wystawy, a także okolicznościowy medalik. Materiałów tych zachowało się dużo i można je oglądać m. in. w zbiorach Muzeum Częstochowskiego.

Na tym miejscu chcemy zająć się nieco bliżej wspomnianym „Domem Sztuki”. Był to obiekt szczególny, bo zarówno jego architektura, jak i czynna w nim wystawa stanowiły jedną zwartą całość i reprezentowały to, co w ówczesnej sztuce polskiej było zjawiskiem bardzo typowym i aktualnym.

Pawilon zaprojektował młody architekt Jan Koszyc-Witkiewicz, który nadał mu masywną, nieco przyćmą formę z pewnymi odniesieniami do polskiego „dworku”.

W początkowym zamierzeniu architekturze miała być poświęcona cała wystawa. Szybko jednak decyzja Koła Architektów, Komitetu Wystawy Przemysłowo-Rolniczej i jej dyrektora, Alfonsa Bogusławskiego, rozszerzono program o „Dom Sztuki”. Znalazło się w nim również malarstwo współczesne, rzeźba, kilka drzeworytów, a przede wszystkim sztuka użytkowa. Gdy chodzi zwłaszcza o tę ostatnią, to miała ona odzwierciedlać ówczesne poglądy i dążenia artystów i teoretyków sztuki. Przypomnijmy, że na początku XX wieku przypada działalność Towarzystwa Polska Sztuka Stosowana (założ. 1901), propagującego wzorodzielnie polskich, czerpanych w znacznej mierze ze sztuki ludowej. Czasy te wydały wiele wybitnych indywidualności, które w dziejach naszej kultury i sztuki zapisały się w sposób trwały i niepowtarzalny. Ich udział w wystawie sprawił, że była ona liczącym się wydarzeniem. Wśród prac zdecydowanie przeważały dzieła artystów żyjących (przez nich dostarczone) reprezentujących ważne ośrodki sztuki polskiej.

Realizację wystawy powierzono specjalnej komi-



Fragment wystawy, na pierwszym planie ekspozaty sztuki stosowanej

si, w skład której wchodził architekt: Władysław Jabłoński, Zdzisław Kalinowski, Kazimierz Skórewicz, Henryk Stif(f)elman i artysta malarz Edward Trojanowski, przedstawiciel Towarzystwa Polska Sztuka Stosowana.

Ogólnie pokazano 155 prac, w tym 68 rysunków architektonicznych, 34 obrazy i drzeworyty, 12 rzeźb i 41 eksponatów sztuki zdobniczej. Wśród obrazów znalazła się m.in. praca znanego pejzażysty polskiego Henryka Szczyglińskiego, zatytułowana „Noc Świętojańska”. Jako ciekawostkę warto odnotować, że drugą jego pracą był motyw zaczerpnięty z parku podjaskogórskiego, namalowany, być może w czasie przygotowań do częstochowskiej wystawy.

Poza wymienionymi można było oglądać dzieła takich artystów, jak Józef i Stanisław Czajkowsy, Stanisław Kamocki, Stanisław Masłowski, Jacek Malczewski (tryptyk „Grosz czynszowy”), Józef Mehoffer, Józef Chelmoński („Droga mleczna”), Edward Trojanowski, Franciszek Zmurko, Stanisław Wyspiański, Jan Bukowski, K. Frycz i K. Łabiński.

Swoją wymowę na wystawie miały rzeźby Xawerego Dunikowskiego (m.in. portret artysty, „Psyche”, „Zwiastowanie”), a ponadto Wacława Szymańskiego („Słowacki”) i T. Breyera. Warto dodać, że znalazły się tam również prace częstochowskiego artysty, ucznia Laszczki, Władysława Rudlickiego.

Na pokaz szeroko wówczas propagowanej sztuki stosowanej złożyły się: ceramika Stanisława Jagmina, kilimy Julii Stabrowskiej i meble Edwarda Trojanowskiego. W tym dziale pokazane też zostały prace drugiego czynnego w Częstochowie artysty rzeźbiarza i pedagoga, Stanisława Chranzowskiego.

Fragmety tej ekspozycji i ekspozycji malarstwa znany z przekazów ikonograficznych, z których dwa publikujemy w niniejszym tekście.

Niezależna komisja, mająca prawo do wyłącznego kwalifikowania prac, złożona z architektów i artystów, mimo obiektywnych trudności (m.in. krótki okres czasu) starała się zapewnić, by poziom udostępnionych prac był interesujący i reprezentatywny dla sztuki okresu Młodej Polski.

Wysokie wymagania postawiono też architektom. W ocenie komisji już sam pawilon, w którym mieściła się wystawa, był „dziełem wielkiej i podniosłej sztuki”. Uważano, że powinien on stać się drogowskazem, jak rozumieć należy styl polski w budownictwie. Wyrażono przy tym pogląd, że polska architektura przeszła zwycięsko swą „ogniową” próbę. Co się zaś tyczy samych projektów architekto-

nicznych, pokazanych na wystawie, to nawet niewielka ich część, jak sądzono, wystarczy, by można było „śmiało pójść [z nimi] do Rzymu”¹ i tam, dodajmy, wcale dobrze się zaprezentować. Jako przykłady interesujących rozwiązań autor artykułu, z którego pochodzą przytoczone opinie, wymienia kościół Niepokalanego Poczęcia projektu Oskara Sosnowskiego, Sulejów (chodzi o projekt adaptacji pozostałości opactwa cystersów na siedzibę średniej szkoły rolniczej, 1909) i fantazje Stanisława Noakowskiego na temat Wawelu. Nadmieniał przy tym, że ter rozwiązań architektoniczne są chlubą udostępnionej wystawy.

Można więc powiedzieć, że to wszystko, co pokazano w „Domu Sztuki”, łącznie z jego architekturą, było swego rodzaju manifestacją współczesnej sztuki, z którą twórcy na Wystawie Przemysłowo-Rolniczej wyszli świadomie poza liczące się wówczas ośrodki, takie jak Warszawa i Kraków i dali możliwość zaznajomienia się z nią u stóp Jasnej Góry szerszym niż zwykle kręgom odbiorców.

Sztuka, jak podkreślano, przemówiła w tym przypadku nie urzędowo lecz prostymi „serdecznymi słowami dostępnymi i górnym <dziesięciu tysiącom> i rzeszom maluczkich”.

Na temat wystawy w „Domu Sztuki” przygotowuję obszerniejszy artykuł.

Aleksander Jaskiewicz

¹Myślano tu zapewne o projektowanym wówczas pawilonie architektury polskiej (1910) w Rzymie, gdzie na wystawie Polskie mieli reprezentować architekci z różnych zaborów.



Wystawa obrazów, z lewej strony tryptyk J. Malczewskiego „Grosz czynszowy”

FOTOGRAFIA z HISTORYJKĄ

NIEDAWNO **Janusz Mielczarek**

Tak wyglądał fragment ściany budynku dzisiejszego Domu Poezji - Muzeum Haliny Poświatowskiej w roku 2003, kiedy miał w nim jeszcze swoją pracownię rzeźbiarz Jerzy Kędziora.

Zdjęcie wykonał Andrzej Ślusarczyk, fotografik z Wałbrzycha, w czasie ogólnopolskiego pleneru fotograficznego „Częstochowa 2003”. Uczestniczyło w nim wielu wybitnych mistrzów obiektywu, w tym m.in.: Paweł Pierściński z Kielc, Stanisław Markowski z Krakowa, Leszek Pękalski z Gdańska, Zenon Harasym z Wrocławia. Łącznie z częstochowianami było 25 osób. Wystawę poplenerową, po ekspozycji w Miejskiej Galerii Sztuki i Urzędzie Miasta Częstochowy, prezentowano również w dwóch miastach Meksyku w roku 2008, w czasie XI Międzynarodowego Festiwalu Kulturalnego - Festival de Mayo.



Fot. Andrzej Ślusarczyk

XII Międzynarodowy Konkursu Fotografii Cyfrowej „Cyberfoto”

*Na konkurs nadesłano 713 prac 78 autorów.
Do wystawy zakwalifikowano 145 prac 48 autorów.*

Jury postanowiło przyznać następujące nagrody :

- I nagroda - Dawid Krzysteczko z Świętochłowic („Portret wielokrotny”)
- II nagroda - Michał Sosna z Gliwic („Różowy pokój I, II”)
- III nagroda - Olga Grabiwoda z Kielc („Labirynt luster”)

Wyróżnienia:

- Sławomir Twardowski z Łącznika („Rozpad osobowości”)
- Kornel Wołodźko z Torunia („Pinokio” i „Czerwony kapturek”)
- Jacek Szczerbaniewicz z Jeleniej Góry („Blue screen”)

Pracom jury przewodniczył Krzysztof Jurecki, krytyk i historyk fotografii, członek honorowy ZPAF; wykładowca WSSiP w Łodzi i na ASP w Gdańsku. Członkowie jury: Katarzyna Łata-Wrona – artysta-fotografik, prezes Okręgu Śląskiego Związku Polskich Artystów Fotografików; Katarzyna Majak – art. fotografik; Zdzisław Sowiński – art. fotografik, członek ZPAF; Sławomir Jodłowski - artysta-fotografik, członek ZPAF (Regionalny Ośrodek Kultury w Częstochowie).



Dawid Krzysteczko - Portret wielokrotny

KSIĄŻKA



ZNANI AUTORZY, PRZESTRZEŃ MIEJSKA

VII Dni Książki
Literatura. Źródła
27 maja - 1 czerwca 2009

„Przyjąłem Pani zaproszenie, bo napisała Pani do mnie list odręcznie” – tak powiedział organizatorce Dni, Joannie Matyi, pisarz Wiesław Myśliwski, dwukrotny laureat nagrody literackiej Nike, który przyjechał do Częstochowy na spotkanie z czytelnikami w ramach VII Dni Książki, w ostatnim dniu ich trwania. Sala wystawowa Miejskiej Galerii Sztuki, w której zwyczajowo odbywają się spotkania literackie, wypełniła się po brzegi czytelnikami książek



Myśliwskiego. Autor wyczerpująco odpowiadał na pytania publiczności, a potem podpisywał książki.

Publiczność wypełniła również spotkania z reporterką Małgorzatą Szejnert, z Ernestem Bryllem oraz z językoznawcą i popularyzatorem poprawnej polszczyzny – prof. Andrzejem Markowskim. Znałe nazwiska podziały jak magnes, trzeba było dostawić krzesła.

Ale organizatorzy nie obawiają się zapraszać również pisarzy mniej znanych, będących na początku swej drogi twórczej, którzy reprezentują jednak znakomity poziom i oryginalność twórczą. Tak było w przypadku prozaika (niegdyś poety) Jerzego Franczaka, który czytając na głos fragmenty swojej najnowszej książki w kawiarnianej atmosferze Cafe Belg, zdołał ściągnąć uwagę i zgromadzić przy „literackim stoliku” także tych gości herbaciami, którzy przyszli tam bez intencji uczestniczenia w spotkaniu z autorem.



Fot. Leszek Pilichowski

KSIĄŻKA



Wyprowadzenie różnych punktów programu VII Dni Książki poza siedzibę MGS - „w miasto” – było tegorocznym eksperymentem organizatorów. Oprócz spotkań w artystycznej atmosferze Cafe Belg, z pisarzem (w tym przypadku autorem kryminałów Mariuszem Czubajem) można było przejechać się zabawkowym tramwajem i być świadkiem streszczenia kryminalnej intrygi z książek pisanych wspólnie z Markiem Krajewskim, albo posłuchać rozmowy i wierszy Karola Maliszewskiego przy ławeczce Haliny Poświatowskiej. Strofy poetyckie wygłaszane przez autora niezwykle zabrzmiały w zgłętku ulicznym. Karol Maliszewski intrygował przechodniów zarówno swoją poezją, jak i niemal manifestacyjnymi opiniami o obronie niezależności twórczej młodych autorów, którzy jego zdaniem, powinni pisać przede wszystkim kierując się własną potrzebą pisania. Spotkanie Forpoczta poetycka dowiodło, że miejsce dla literatury jest wszędzie, choć, jak zaznaczył Maliszewski, spotkanie uliczne okazało się dla niego wielką metaforą relacji współczesnego czytelnika z dziełem literackim – na chwilę i w pośpiechu do innych życiowych spraw.



Wielkim zainteresowaniem cieszyły się, oczywiście, wszystkie propozycje dla najmłodszych – dzieci wychodziły z galerii z książkami podpisanym przez lubianych autorów – Marcina Pałusza, Małgorzatę Sętowską, Joannę Fabicką. Przez jeden dzień przechodniów intrygowała ekspozycja na trawniku przed budynkiem MGS, wymalowanych farbami i ostemplowanych na kolorowo płócien rozpiętych na dwóch patyczkach. Tak wyglądały wykonane w czasie warsztatów zwoje, nawiązujące do najstarszej formy książkowej.

Program VII Dni zwieńczyła propozycja Teatru im. Adama Mickiewicza w Częstochowie – głośno czytanie współczesnego dramatu polskiego w interpretacji aktorskiej. Łatwo było zauważyć, jak duże wrażenie zrobił na słuchaczach tekst Agnieszki Osieckiej, na podstawie prozy Izaaka Singera „Wilki”.

Joanna Matyja



Fot. Leszek Pilichowski

GALERIA



Fot. Marek Grajcar



Fot. Marek Grajcar

Marek Grajcar – tegoroczny maturzysta, absolwent VII LO im. M. Kopernika. Zainteresowania: psychologia, muzyka elektroniczna. Z powodzeniem łączy inną pasję - rower - z fotografią, co daje nader ciekawe wyniki.

BÓL NAS EPATUJE

Z Barbarą Rosiek
pisarką i poetką
rozmawia Piotr Nita



Spotykamy się z okazji dwudziestopięcioletnia Pani twórczości...

Tak, pierwsza, prawdziwa twórczość wyszła dokładnie 25 lat temu, przed „Pamiętnikiem narkomanki”, w gazecie „Na przełaj” i był to wiersz. To był rok 1984, czyli równo 25 lat temu. I mam 50.

Urodziny, czyli podwójny beneficj – tak chciałam.

Blisko 25 lat temu zadano Pani pytanie, czy „Pamiętnik narkomanki” publikować pod Pani nazwiskiem. Jak ocenia Pani tę decyzję z perspektywy czasu?

Z perspektywy oceniam różnie, aczkolwiek się cieszę, że jednak pisałam pod własnym nazwiskiem, ponieważ pół życia miałam problemy z poczuciem tożsamości, a jeszcze jakbym nie miała własnego nazwiska, to skończyłoby się to fatalnie. Moi rodzice, znani w Częstochowie pedagogzy i córka narkomanka - niezbyt to ładnie wyglądało. Ale jakoś się pogodzili z tym, że piszę pod własnym nazwiskiem. Miałam mnóstwo kłopotów z tego powodu. W 1985 skończyłam studia, w '85 ukazał się „Pamiętnik”. Miałam od razu kłopoty - i w pracy na psychiatrii w Lublińcu, i po powrocie do Częstochowy, i np. jak wzywałam pogotowie ratunkowe do bolącego serca, to mi najpierw sprawdzali żyły, a dopiero później badałi. Takie różne ciekawostki.

A jak to wpłynęło na odbiór Pani twórczości poetyckiej?

Bardzo pozytywne, bo bardzo ciężko jest przebić się z poezją. Tylko najbliżsi nie mają z tym problemu. A ze mną to tak: „Aha, to napisała Barbara Rosiek – to kupimy, zobaczymy”. Ciekawe jest to, że ja wydałam już około 14 czy 15 tomików wierszy. Są w przygotowaniu wiersze zebrane, ale na to nie ma na razie pieniędzy. Widziałam już okładkę, jedna czarna, druga biała - w dwóch tomach. Wiernie odtworzo-

ne wszystkie tomiki - czysty przedruk. Ale mój wydawca twierdzi, że boją się ciągle zainwestować w te moje wiersze, mimo wszystko. No, jest niby recesja i kryzys, ale „Pamiętnik” na przykład się sprzedaje. 16. czy 18. wydanie - już przestałam liczyć. Jest lekturą szkolną.

Zetknąłem się z informacją, że pisze Pani bez poprawek, i jakby z biegu, niemal jak zapis automatyczny.

Pamiętam, jak pisałam „Alkohol, prochy i ja” - siałam do maszyny, bo pisałam tradycyjnie na maszynie, nie na komputerze, i strona po stronie, dzień po dniu, powstawał maszynopis, bez żadnych poprawek, zagładania wstecz i tak jak skończyłam, tak oddałam. Ja mam zawsze jedną sztukę. Pocztexem to wysyłam, jak cenny skarb. To by było do odtworzenia, z dziennika, bo również dziennik piszę, ale zawsze jest to jeden egzemplarz. A „Kokaina” była w rękopisie, przepisywał ją dopiero mój wydawca.

I ta właśnie powieść różni się zasadniczo od pozostałych.

Bo jest czystą fantazją. Moi czytelnicy są przekonani, że rzeczywiście byłam tą prostytutką i że rzeczywistość jest 100% prawdy w tym, że moi rodzice mnie porzucili itd. Powstaje więc dysonans między „Pamiętnikiem” a „Kokainą”. A ja ciągle mówię młodemu pokoleniu – nie dajecie mi szansy na wyobraźnię, na fantazję, na twórczą aktywność, a wszystko musi być dokładnie tak, jak ja to przeżywałam.

Ale czytelnik, podczas lektury poprzednich powieści, mógł się do tego przyzwycząć. „Kokaina” łamie typową dla pozostałych powieści zasadę dokumentalizmu.

Pisałam w „Alkoholu”, że wzięłam 100 tabletek i przepiłam to szklanką spirytusu – no kto by to przeżył? Zastanówcie się chwile.

I tu powstaje pytanie o kwestię stylizacji.

Tak, pewne rzeczy troszeczkę powiększam, koloryzuję, zmieniam, ale nie jest to kłamstwo czy konfabulacja. Często odbierane jest to jako czysty dokument, a to jest literatura. Choć osobiście czasami myliło mi się, co jest fikcją, a co prawdą. Nie zaprzeczam jednak już zbyt mocno, tym tabletkom, bo młodzież chce w to wierzyć. Mam takie chwile, gdy jestem w podziemi, teraz na przykład na to 25-lecie, długo zastanawiałam się, czy się odkryć, wyjść z podziemia, ale w końcu pomyślałam sobie, że zrobij prezent Częstochowie i wyjdę, czego konsekwencją jest nasza rozmowa. Ale tak naprawdę, to lubię

być w podziemiu. To znaczy: książka żyje własnym życiem, nie mam wpływu na swoje książki, ja się tym specjalnie nie interesuję, nie słucham opinii, recenzji. Czasem tylko coś mnie rozśmieszy, np. że nie żyje (błędny wpis w Wikipedii, który pojawił się w 2006 r. - przyp. PN). Albo że jestem wymysłem dziennikarzy, którzy wspólnie napisali „Pamiętnik”, by omamiać młodzież. Była taka dziewczyna w Krakowie, narkomanka, która pisała, że „Pamiętnik” to nieprawda, bo na Wólce Węglowej nie ma grobu Marzeny (postać z „Pamiętnika narkomanki” - przyp. PN) - oczywiście, że nie ma, jak nikt nie opłaca miejsca, to groby po pewnym czasie się likwiduje. Nawet miałam takie bardzo ciekawe przeżycie. Marzena przyszła do mnie we śnie i mówi: „Basia, zabrali mi miejsce” - to był koszmar dla mnie, tak realny. I później dowiaduję się z internetu, że nie ma tam grobu.

Przez lata pracy twórczej z pewnością wykreowała Pani sobie obraz swojego czytelnika. Kim jest adresat Pani twórczości?

Pisząc książki, piszę do wszystkich. Mimo że czytają to określone ludzie, którzy mają problemem związany z tematem książki lub się z nim stykają, lub ich dzieci mają problem, ich znajomi mają problem lub też są specjalistami, fachowcami, psychologami, lekarzami. Ale tak naprawdę, teraz jest tak głośno o wszelkich uzależnieniach, że ta książka trafia do każdego. „Pamiętnik” pisałam jako pokazanie problemu, ostrzeżenie. Mówiłam, że jest taki człowiek jak Kotański, który leczy narkomanów, bo oficjalnie czegoś takiego nie było, nie było Monaru. Cenzor chciał wszystko, co się dało, a o policji to już w ogóle. „Pamiętnik” był szokiem. W tym samym czasie wydali „Dzieci z Dworca Zoo” i te dwie książki jakoś tak konkurowały ze sobą, ale gdzie tam Berlin Zachodni, a gdzie Polska Ludowa.

Dydaktyczny wymiar „Pamiętnika” jest jasny.

Ale jednak nie do końca. „Pamiętnik”, mówią, to broń obosieczna, bo świadczy o tym, że brałam, brałam, a jak przestałam, to skończyłam studia, pomagam ludziom i żyję - więc brać można. Ja mówię - czytajcie dalej. Ja przeżyłam, a inni? Inni wszyscy umarli.

Jako czytelnik zastanawiam się, jak powinienem zareagować na dość często pojawiający się motyw samobójstwa. „Druga część pojawi się, jak jej dożyję”. Jeżeli mamy do czynienia ze stylizacją, to czuję się uspokojony. Ale powstaje pytanie, po co zarzuca się mnie tym motywem. Jeśli natomiast o autentyczne, muszę się zaniepokoić, już nawet nie o postać, co o autorkę.

Słuszny niepokój o autorkę, bo autorka samobójstwa popełniała. Tylko widocznie ma coś tu jeszcze do zrobienia, bo Pan Bóg ją ratował ze śmierci klinicznej. Reanimowana byłam dwa razy po próbach samobójczych. Dopiero w tej książce („Poganiacze chleba”, 2008 – przyp. P.N.) kiedy się rodzę, zastanawiałam się, jak wytłumaczyć co to znaczy „urodzić się”. Urodzić się to znaczy: pokochać siebie, wybaczyć sobie i wybaczyć innym i rodzicom, przestać się bać żyć, znieść lęk, nie chcieć się bać, chcieć żyć. A jak odreagowałam na papierze i zabiłam się w książce, to w życiu doczesnym nastąpiło to nowe odrodzenie i chęć do nowego życia.

Porusza Pani tematy, które zwykle kryje się w ramach ochrony intymności, prywatności. Relacjonuje Pani swoje życie w sposób ostry, jest to radykalne świadczenie o sobie.

Radykalne, uważa pan? Hm... dla mnie to jest naturalne. Gdy opisuje chorobę, to opisuję ją od początku do końca, z tym co się przeżywa i z tym, co jest cenne. To dla osoby takiej np. jak pan, która nie jest w stanie sobie wyobrazić, co to znaczy mieć siedem drenów w brzuchu. A chciałam, żeby było tak mocno i tak obrazowo pokazane, co to jest ból fizyczny. Bo co to ból psychiczny opisałam w „Schizofreniczce”.

Czy są jakieś linie, które określają przestrzenie, o których nie będzie Pani pisać, by nie popadąć w czysty ekshibicjonizm?

O ekshibicjonizm to mnie ciągle posądzają. Jest kilka spraw, o których nie piszę. Ale prawda o życiu musi być trochę ekshibicjonistyczna, bo nie byłaby prawdą o życiu, byłaby jakimś zafalszowaniem. A to, że ja pokazuję swoje ciało i swoje wnętrze, aż do bólu... Tak naprawdę człowiek jest do tego stworzony. Ciągłe się o ten ból w swoim życiu ociera, swój czy swoich bliskich, czy patrząc na wypadek drogowy. I jakoś go przeżywa psychicznie i fizycznie. Epatuje nas ciągle ten ból i cudze nieszczęście.

Ja bardzo chciałam, żeby Częstochowa uznała mnie również jako poetkę. Na początku porównywano mnie do Poświatowskiej, co mnie bardzo zliło. Poświatowska - miłość, ja - śmierć. To całkowicie niebo i ziemia. Mimo, że mamy te same wady serca, ale ja miałam szczęście urodzić się trochę później.

Czy relacja, jaką Pani dostarcza z tego cierpienia, ma za zadanie krzepić czytelnika?

Krzepić w pewien sposób tak, ale musi być pewna ciągłość, czytelnik musi przeczytać książkę od początku do końca, poznać mój rozwój i duchowy, i psychiczny, i emocjonalny, i fizyczny, aż do „Poganiaczy chleba”, gdzie rodzę się i kończę z tymi wszystkimi dziwnymi rzeczami, typu samobójstwo, okaleczanie się, choroby. Teraz natomiast zajmuję się zupełnie czymś innym, ale jeszcze o tym teraz czytelnikowi nie powiem. Pracuję nad kolejną prozą, która jest wielką tajemnicą. Po „Pamiętniku” mówiono o mnie, że będę autorką jednej książki. Wtedy sobie obiecałam, że w ciągu 10 lat napiszę 10 książek, choćbym miała podpisać pakt z diabłem. Paktu nie podpisałam, ale książki napisałam.

Tym akcentem zakończymy rozmowę. Dziękuję.

Pytają, jak pisałam „Alkohol” – no, pisałam! A jak „Krzyk”, gdy pisałam, że wiszę – no, wisiałam!

SUBIEKTYWNIE

Radykalny ekshibicjonizm Barbary Rosiek – mieć odwagę, czy nie mieć oporów?

Piotr Nita

Strategia bezkompromisowego świadczenia o życiu trudnym, o tych jego przejawach, które zwykle ukrywa się skrętnie i osłania w ramach troski o swą intymność – to pryncypia dokumentalizmu prozy Rosiek. Nie powinno więc dziwić, że o ekshibicjonizmie wspomina się w odniesieniu do autorki często. Rzadziej natomiast przypomina się o reporterskim wymiarze jej prozy, a właśnie tu przejawia się jej specyfika najdobitniej. Mimo, że wiele zarzutów kierowanych wobec prozy Rosiek nie trafia w pust-

kę, to o jej unikalnym charakterze zapomnieć trudno. Można podważać jakość relacji dostarczanych przez autorkę, można zarzucać jej skrajny subiektywizm, wybiórcze traktowanie pewnych zjawisk i wyraźną fiksjację dotyczącą tematów presuicydalnych (o czym później), ale wciąż są to naoczne obserwacje świadka. Obserwacje świadka, pogłębione o jego przeżycia, o tyle cenne, że rzadkie, gdyż niewielu po podobnych przejściach pragnęłoby dzielić się ich treścią. Świadka, który niczym korespondent wojenny nadaje z wewnątrz - z narkomanii, ze schizofrenii, z oddzia-
łku onkologicznego. Świadka, który własny zyciorys oddał literaturze na żer.

Rosiek przemawia w tonie pokory, sypie popiół na głowę, postuluje akceptację marność człowieka wobec śmierci, wobec cierpienia, przypomina o kruchości ludzkiego żywota. Z tej pokory stara się wykuć swoją wiarygodność. Autorka bowiem głęboko wierzy w zgodność swoich relacji z rzeczywistością, taki przyświeca jej cel – oddać wiernie.

Cel ten realizuje metodą, która może zadziwiać. Autorka sama przyznaje, że nie stosuje poprawek i korekt, żadnego dlubania, ślęczenia nad tekstem, cyzelowania. Kolejne powieści wypełniane są jakoby wydarzeniami z życia autorki - bez kompozycji, bez struktury, bez planu. Jedyną konstrukcją, jaką nanosi autorka na tekst powieści, a powołuje się tu na jej własne wypowiedzi, są jej chronologiczne ramy, przykładowo - od pierwszej sprzycy z morfiny, do ogłoszenia epidemii AIDS w Polsce. Trzewia natomiast wypełnia głos para-rzeczywistości. Oddanie kontroli nad przebiegiem fabuły w ręce przypadku, prowokuje do sformułowania pytania - czy powieść może być echem rzeczywistości? Wszelkie więc domysły pokroju – co stanie się z bohaterką, mają podobny poziom trudności, co dociekania o losie prawdziwych osób. Autorka nie porusza się w żadnej konwencji pisarskiej, nawet własnej. Więc nie spodziewajmy się, że opisany z początku powieści sztucer – pozwolę sobie na potrzeby tej metafory zapożyczyć rekwizyt z powieści kryminalnej – wystrzeli na końcowych stronach powieści. Tu rządzi inna zasada, bardziej anarchizująca.

Taką metodą zapisu powstał „Pamiętnik narkomanki”, taką „Byłam schizofreniczką”, „Alkohol, prochy i ja”, „W poszukiwaniu ducha”, wreszcie również „Poganiacze chleba”. Jedna powieść przelamuje ten porządek, a jest nią „Kokaina”. Nie tylko sposobem pisania odbiega ona od reszty dzieł autorki.

Przekornie rezygnująca z dokumentalnego dogmatu „Kokaina”, to pisarskie ostrogi Rosiek, bo dopiero ta powieścią autorka bierze odpowiedzialność za dzieło, przyznaje się do panowania nad procesem twórczym, do decydowania o każdym kolejnym akapicie. Fikcyjność „Kokainy” wywołała pewne emocje wśród jej czytelników, gdyż historia jej bohaterki



Fot. Leszek Piłichowski

wyraźnie koliduje z dotychczasową, prezentowaną w powieściach autobiografią. Trudno się dziwić, że spowodowało to dysonans poznawczy u uważniejszego czytelnika.

Warstwa językowa powieści Rosiek dostarcza szerokiej gamy doznań. Język ten najczęściej jest rzeczowy i precyzyjny, z pewnością twardy, osikowy wręcz, jednak w serce trafia dopiero jego naturalizm, popadający czasem w makabreskę. Dłuższa lektura przytępiła nieco wrażliwość na dantejskie niejednokrotnie sceny i może odstręczyć czytelnika o delikatniejszej konstrukcji uczuciowej. Nie każdy bowiem dostąpi zrozumienia prawdy podawanej przez Rosiek, nie każdy ją uzna. Niebagatelny wpływ ma na to forma, w jakiej przemawia autorka.

Wydaje się, że Rosiek skazana została na język, jakim się posługuje. Wyrok zapadł w momencie doboru tematu jej twórczości. Temat jakiego podejmuje się relacja, pociąga za sobą urodę jego opisu. O worach stomijnych pisać Poświętowską, byłoby pamfletiarstwo. Konieczne więc się stało sięgnięcie do arsenału określeń dosadnych.

Język Rosiek wyraźnie lubuje się w powtórzeniach, bywa dzięki temu transowy. Nie odpuszcza szczegółom, ale nie draży też zbyt głęboko w osnowach rzeczywistości. Rezygnacja z podjęcia wnikliwszej analizy może być zabiegiem celowym zmierzającym do obiektywizacji lub do zwiększenia wiarygodności relacji, by pozbawiona zakłóceń związanych z wsłuchiwaniem się w komentarz, przemówiła mocniej i wyłącznie własnym głosem.

Powieści Rosiek doczekały się licznych adaptacji teatralnych. Inspirowany „Pamiętnikiem narkomanki” spektakl pt. „Narkomani” wystawiano w Teatrze Lalek w Olsztynie oraz w Teatrze Lubuskim w Zielonej Górze. Oparty na „Pamiętniku” oraz pozostałych powieściach spektakl pt. „Pamiętnik narkomanki” pokazano w Teatrze im. Adam Mickiewicza w Częstochowie, w Domu Sztuki JARY w Warszawie, w Teatrze im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie, wreszcie w Teatrze Zagłębia w Sosnowcu i Dzierżoniowskim Ośrodku Kultury. Teatr Dramatyczny w Elblągu prezentuje spektakl „Narkomanka” niemal rok w rok, od 1998 aż do 2009.

Jednak nie tylko prozą zajmuje się Barbara Rosiek, bo również i poezją. Debiutancki tom wierszy pt. „Byłam mistrzynią kamuflażu” wydała w roku 1995. Następne publikacje pojawiały się w dość regularnych odstępach - „A imię jego Alemalem” (1998), „Ciało na kracie” (1998), „Zar miłości” (1999), „Jak ptak przytwierdzony do skały” (1999), „Miłość niedokończona: wiersze wybrane” (2004), „Być poetą” (2005), podwójny tomik „Uwierzyć. Melancholia” (2006), „Za murem” (2006), „Małgosi Roguli poetce pisane przed śmiercią” (2008) – wszystkie pozycje wydane zostały przez krakowską oficynę Miniatura. Ponadto drukiem ukazały się jeszcze tomy - „Wdowa” (2000) i „Krzyk” (2003), oba wydane przez bydgoski Instytut Wydawniczy Świadectwo. Trudno objąć tyle pozycji w krótkiej analizie, dlatego zmuszony jestem do wprowadzenia pewnych, mam nadzieję, że nie nazbyt krzywdzących, generalizacji.

Przywiązanie do wyrażania się wprost – w pierwszej osobie liczby pojedynczej, zauważalne w prozie, staje się immanentną cechą poetyckich wypowiedzi autorki. Opisujemy ze statycznej perspektywy świat zyskuje na głębi i detaliczności, równocześnie może wydawać się klaustrofobiczny. U Rosiek przyczynia się do tego repetytywne przywoływanie określonego katalogu emocji. Autorka nieustannie poszukuje coraz precyzyjniejszych określeń oddających jej przeżycia, często jednak popadając w duplikacje, powielania opisów powracających doświadczeń, jak np. reminiscencje nalogu.

Operuje przy tym wyraźnymi, bardzo prywatnymi, ale w całej swej rożności czytelnymi w odbiorze elementami. Niektórym poświęca więcej uwagi, czyniąc z nich rysy reprezentatywne, typowe tylko dla niej samej, swoiste loga, fetysze. Przykładowo, z wielkiej litery tytułuje *Moje Królestwo*, *Ogoniastego* etc. Odnosi się wrażenie, że proces twórczy przebiega jednak w sposób pozabawiony większych trosk. Ostatnią rzeczą, o jaką się tu zabiega, jest forma wiersza, jego krój. Kolejne teksty powołuje się w błogim nastroju wyrzucania z siebie, wszystkiego, co się czuje.

Zarzut terapeutycznego wymiaru pisarstwa Rosiek potwierdza również duszna obecność jej terapeutki - Marka Sternalskiego, któremu dedykowana jest, znaczna część wierszy autorki. Sama Rosiek nie ukrywa, że pisanie jest składową jej terapii. Podjęcie pisania w celu zmierzania się w logicznych konstrukcjach słownych z osobistymi bólami to, zakładam, ważny i skuteczny element terapii. Owoce jednak terapii, w przypadku Rosiek, opuszczają gabinet i otrzymują ISBN - odtąd obejmują je zupełnie inne kryteria oceny. Warto przypomnieć pewną pisarską mądrość - fakt, że wyznania płyną z dna serduszka nie oznacza, że powstaje tym sposobem dzieło wartościowe. Miejscami więcej szwungu jej wierszom dostarczyłaby głębsza refleksja nad stroną formalną każdego utworu.

Być może to truizm, ale poezja Rosiek zyskuje w towarzystwie jej prozy. Proza podbudowuje ją i uplastycznia. Język wierszy i prozy zaplatają się ze sobą. Znajomość prozy autorki dopełnia poezję, niweluje jej ubytki. Tak jak proza zazębia się z biografią, tak poezja z prozą - maszyna to, czy domino? Transowość nawracających tematów, zwrotów postaci, za każdym obrotem powiększających się o słowo, wers, buduje apokaliptyczny nastrój odliczania. Ile razy jeszcze będzie

się dało powielić dany zwrot? Jednym z takich powracających tematów jest śmierć samobójcza.

Przywoływane wciąż i wciąż samobójstwo wpływa na czytelnika w dwójnasób – niepokoi jak każda wizja śmierci, końca, zagłady, ale też drażni, bo zauważalne jest, że autorka częstokroć używa tej figury instrumentalnie, szantażując czytelnika, wymuszając na nim zaangażowanie, bo oto jakoby na kartach jej powieści umiera człowiek, a więc czytać należy. Tego typu marketingowa groźba widnieje na końcu powieści „Alkohol, prochy i ja” - „PS Drugą część napiszę za kilka lat (jeżeli oczywiście dożyję)”. Wraz z kolejnymi wersami, utworami, tomikami zmienia się odbiór owej śmierci. Śmierć degradowa z silnego symbolu do ornamentyki i przestaje tak pobudzać.

Autorka nie ukrywa, że jej ambicją jest zyskać miano poetki. Otoczenie tymczasem uparcie odbiera ją jako prozaiczkę. Z pewnością stygmatyzacja prozą utrudnia autorce zaprezentowanie swojej poezji, równie jednak prawdopodobne, że spowodowane jest to niedoskonałościami jej poezji. Jej krawiwa - „Pamiętnik narkomanki”, przed którym w zasadzie jeszcze tylko ekranizacja, to wciąż wizytówka autorki. Właśnie taka jak w „Pamiętniku” wyznaniowa, na poły reporterska, demaskująca proza, stanowi wkład Rosiek w polską literaturę.

Barbara Rosiek ma się dobrze w brzuchu rzeczywistości, nawet gdy ta schodzi w głębinę, a ciśnienie wyciska swe piętno, nawet gdy światło gaśnie i jedną iskierką pozostaje podejrzanie migotanie w tunelu. Nawet wtedy, bo nawet wtedy pisze.

21 marca 2009 Barbara Rosiek została przyjęta do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, oddział Warszawa. Wcześniej należała do innych oddziałów Stowarzyszenia, z których członkostwa rezygnowała.



Fot. Leszek Piłchowski

Robert Kurpios

ZARAZA

W zeszłym roku pojechałem ze szwagrem na grzyby. Dzień był ponury. Nad polami unosiła się mgła, z nieba siał deszcz. Wyciskaliśmy z rowerów ile się dało. Szwagier na czele (bardzo mocny jest w nogach), krzyczał, żebym przyspieszył, bo grzybiarze maślaki nam wyjedzą. Trudno było nie przyznać mu racji. Zacząłem pedałowac jakby ten sprint był ostatnim w moim życiu. Mknąłem jak Szurkowski, ba, jak Szozda prawie. Po lewej stronie drogi migaly parterowe domy. Nagle rozległ się pisk. Szwagier zahamował.

- Złaż z pojazdu – powiada.

- Co się stało?

Minę miał posępną, a jego pięści zrobiły się o rozmiar większe. Tak mi się przynajmniej zdawało.

- Patrz, chłop na torach leży.

Spojrzałem w kierunku wyciągniętego grubego palucha. Rzeczywiście, za kamiennym nasypem, chłop na torach leżał.

- Idziemy – bąknął szwagrowski.

Bezwystry pijak, pomyślałem, gdy stanęliśmy obok rozciągniętego na szynach mężczyzny. Jego brzuszysko poruszało się leniwie.

- Wstawaj, ty taki owaki! - zaklął szwagier.

Chłop otworzył oczy i zrobił nadąsaną minę.

- Nie chcę. Na swoje życie się targam.

- Tu nic pan nie wytargasz. PKP strajkuje.

Wiedziałem, że krewniak ma rację. Nieraz mówił o swych wpływach na kolei. Jego kolega był bagażowym.

- Idź pan lepiej do parku. Topole rosną tam mocne.

Chłop wstał z torów i zaczął się drapać po czuprynie. Skromnej raczej niż bujnej.

- W parku nie wypada. Przychodzą szkolne wycieczki.

Szwagier spojrzał na mnie. Zacząłem się drapać po głowie. Czupryny nie posiadam.

- Pan jesteś trunkowy? – pytam mężczyzny.

- Incydentalnie.

- Nosa czerwonego nie ukryjesz.

- Cóż więc, chłopcze, proponujesz?

- Zapić się na śmierć „Pod dębami”. Knapja jest na winkl.

Szwagier z uznaniem głową pokiwał. Zawsze ceniał zdrowy rozsądek.

- Zasoby finansowe posiadacie? – spytał grubego, a do mnie puścić oko – Grzyby nie zając, nie uciekną.

Z radosnymi sercami ruszyliśmy do baru. Chód mężczyzny stawał się lżejszy. W knajpie po każdym kieliszku humor mu się poprawiał. Po pierwszym przestał rozpaczać, po trzecim narzekać na rząd, po piątym powiada, że zagwiżdże „Przybyli ulani”, albo zacznie wywijać hołubce. Szwagier nerwowo rozjeździł się po sali.

Wyszliśmy z baru, gdy podwójny księżyc kiwał się na niebie. Ja ze szwagrem także. Gruby został, by zanicieć barmance znaną nieprzyzwoitą przyspiewkę. Trzeba jednak przyznać, głos miał ładny. Mocny, ciepły baryton.

- No i co teraz? – spytał szwagier. Twarz wykrzywił mu ponury grymas. – Pieniędzy przepite, rowery skradzione. Finito.

Podrapałem się po głowie.

- Obrączkę ślubnej sprzedałem. Szkoda, chociaż była z tombaku. Samobójstwo to jakaś zaraza.

- Że niby grubemu przeszło, a nas ciągnie na tory?

- Ale strajk, a w parku nie wypada.

Nerwy szwagrowi puściły i gonił mnie przez pół miasta. Wykończony usiedliśmy na ławce. Krewniak odpapnawszy splunął przez lewe ramię.

- Nigdy więcej nie zbliżę się do chłopca na torach – rzekł.

Splunąłem przez prawe. Wiatr dął z ukosa. Mogło powiać na szwagra, a trudno nie przyznać mu racji.



Fot. Janusz Piernikarski

ireland.pl (4)

Alfie i Sammy**Adam Key-Królikowski**

Ze spokojnego, południowego zachodu Irlandii udałem się wprost do tętniącego serca wyspy – Dublin, gdzie zaczerpnąwszy nieco jego szybszego oddechu, zamierzałem następnie zatrzymać się w przylegającej doń od strony hrabstwa Wicklow okolicy. Na miejsce swego planowanego postoju wybrałem więc Bray. Ciekawiło mnie bowiem nie tylko to, że w dzieciństwie mieszkał tam Joyce, ale nadto przynaglała chęć załatwienia nieopodal kilku spraw filmowych. W Ardmore – gdy tylko dowiedziano się o mych celtyckich zainteresowaniach – poradzono mi, żebym rozpoczął te sprawy od Éamona. Pojechałem zatem najpierw do Delgany, aby z nim się spotkać. Éamon de Buítléar to znany i ceniony w Irlandii niezależny filmowiec, reżyser i producent, przede wszystkim autor dokumentów ukazujących życie dzikiej przyrody Wysp Brytyjskich, także jednak twórca celtyckich filmów dokumentalnych, a nawet animacji irlandzkojęzycznych. Dla RTE – Radio Telefís Éireann – czyli publicznej Telewizji Irlandzkiej, oraz dla BBC, nakręcił już tych filmów całe mnóstwo. Był poza tym senatorem i współzałożycielem pierwszego składu grupy The Chieftains, grających w latach 60. jeszcze jako Ceoltóirí Chu-

alann. Teraz Éamon ma ponad 70 lat, nadal jednak kręci swoje filmy – jest zresztą jednym z nielicznych dziś na wschodzie wyspy reżyserów filmowych, którzy mówią po irlandzku. Jego żona przyniosła smaczne ciasto, obejrzeliśmy kawałek jego celtyckiego filmu, pogadałiśmy, a w końcu Éamon – zadowolony najwyraźniej, że odwiedził go Celt z głębi kontynentu – odwiózł mnie swoim landroverem na stację.

Ale Éamon to osobna historia. Tutaj naszymi bohaterami – jak wskazuje tytuł – są Alfie i Sammy. Zatrzymałem się bowiem właśnie u Alfiego, w którego liczącym kilkanaście pokoi domu wynająłem maleńkie studio. Alfie to z pochodzenia Walijszyk, który w Irlandii rozkręcił interes gospodarczy, polegający z grubsza na tym, że wykonuje on i remontuje Irlandczykom różne urządzenia ogródkowe. A ponieważ w Irlandii prawie wszyscy mają przydomowe ogródki, więc jego parkany, murki, schodki, altanki i co tam jeszcze, również mają się jak najlepiej. Sam Alfie jednak nie ma lekkiego i beztroskiego życia. Jego na pół sparaliżowana żona, wbrew wyraźnemu zakazowi, często lubi mianowicie poruszać się po kuchni nie o kulach, lecz tylko trzymając się mebli. To główny powód trosk i ciągłych lęków Alfiego. Radość swoją czerpie on natomiast z posiadanej hodowli ptaków, głównie kanarków i papug, którą – pod postacią skomplikowanej instalacji klatkowej – umieścił w ogrodzie. Prócz niej Alfie ma wszakże jeszcze jeden ubaw. Jest nim Sammy.

To, kim jest Sammy, niełatwo wcale wyjaśnić. Sammy to przede wszystkim pies – wielkie, bezkulde, wyblakłożółte psisko, tak duże i silne, że nie



Lough Key (irf. Cè) z zamkiem Juleen na wyspie

można go na przykład odsunąć, gdy zaprze się tam gdzie chce. To przy tym bardzo rozumny pies – już nie raz bowiem wzywał pomocy lub sam pomagał żonie Alfiego wstać i przejść, gdy akurat nie miała swych kul pod ręką. Sammy zawsze też nosił w pysku niewielką gumową piłeczkę, która przy każdym kląpnięciu wydawała prerażliwie donośny pisk. Wyglądało to zrazu bardzo zabawnie – takie ogromne psisko, a zamiast szczekać, piszczy jedynie tym cienkim głosem. Sąsiedzi wszakże, znając tę jego mowę, zaalarmowani ciągłym i głośnym piskiem, natychmiast przychodzili z pomocą. Zawsze poza tym, gdy psa się zawołało, odpowiadał piśnięciem i od razu wiadomo było gdzie jest. Sammy jednak tak się przywiązał do swej piłeczki, że służyła mu ona nie tylko jako alarm. Okazało się, że to pies również ogromnie rozmiłowany w futbolu. Czasem wpadałem wieczorem do Alfiego obejrzeć jakiś mecz, głównie piłkę nożną – premiership lub ligę mistrzów – ale także na przykład hurling, typowo irlandzka gra, stanowiąca połączenie futbolu, hokeja i rugby. Hurling jest bardzo szybką, twardą, wręcz brutalną grą – grzmocą się w niej kijami na całego, a ponieważ tylko słabeusze występują w kaskach, więc co mecz ktoś zostawia zęby na murawie. W Irlandii jest to jednak sport narodowy, w hurling grano już tam przed naszą erą, chlubią się więc, że jest to najstarszy zespołowy sport na świecie. Zwykle zatem śledziliśmy owe mecze w trójkę – my jedząc ciastka lub czekoladki, rozparci wygodnie na kanapie, oraz Sammy leżąc przed telewizorem, nieomal z nosem w szybie. Alfie rzucił zawsze słodkie opakowania po smakołykach, Sammy zaś pałaszował ze smakiem te papierki. Nie tylko – jak twierdził Alfie – że nie mu nie szkodziły, lecz Sammy potrafił zeżreć ich każdą ilość.

Zaglądałem też do Alfiego często rankiem do kuchni, gdyż miał on zwyczaj przy śniadaniu wypić ze swoim gościem kawę. Potem zwykle Alfie udawał się do pracy, a ja zatapiać sprawy związane z filmem. Pewnego dnia zamarudziłem jednak nieco dłużej w domu, tak że – gdy Alfie już poszedł – ponownie, kierując się ku wyjściu, mijając korytarz obok kuchni. Naraz, nie wiedzieć skąd, wyrósł przede mną Sammy, zastępując mi drogę i kładąc przy bucie piłeczkę. Odkopnąłem mu ją, mówiąc, że nie mam czasu. Sammy zaraz jednak ponownie ją przyniósł, położył mi przy nodze i ustawił się w głębi korytarza. Zrozumiałem, że chce bym ją kopnął. Strzełem mu więc karnego, on ją złapał, pisał i ponownie przyniósł. Pomyślałem, że to dość zabawne i markując tym razem strzał w drugi róg, chyttrze próbowałem go zmylić. Puścił gola, aż się przy tym rąbnął o ścianę, zapiszczął, przyniósł piłkę, ale przy okazji kląpnął mnie w nogę. Był to chyba znak, żebym grał fair. Po pół godzinie gry zabawa z nim wszakże znudziła mi się, byłem zresztą umówiony, powiedziałem więc „Final, Sammy” i postawiłem piłkę nieruchomo. Ten jednak widząc, że chcę iść, natychmiast dopadł do mnie i nie tylko kląp-



Hurling – motyw celtycki

nął w nogawkę, ale też złapał zębami za rękę. Psisko nie miało uczucia w pysku. Chcąc nie chcąc musiałem mu ustąpić. „OK, Sammy. We play football” – i graliśmy dalej. Nie wiem, jak by się to wszystko skończyło, gdyby pod koniec przepisowej drugiej połowy meczu nie zjawił się nagle Alfie i nie wybałwił mnie z opresji. Powiedziałem, że ten pies to kompletny maniak futbolowy i że od tych karnych nie czuję już nogi. Przez kilka dni omijałem więc nie tylko Sammy’ego, ale również wspólne oglądanie meczów w telewizji.

Wreszcie jednak któregoś wieczoru ponownie zjazałem do Alfiego. Leżał pod kocem na kanapie, jakiś przybity – Sammy zresztą też jakoś dziwnie, bokiem do ekranu, jednym okiem śledząc Manchester Utd i Celtic, a drugim lypiąc na Alfiego.

– Co dziś jesteś taki smutny, Alfie? – zapytałem.

Alfie podniósł się, oparł ciężko i rzekł:

– Mam raka, tu – wskazał na brzuch.

– Ale... wyjdiesz jakoś z tego – wykrztusiłem po dłuższej chwili.

– Muszę chodzić na naświetlanie – po czym rozesiął się nagle i machnął zrezygnowany ręką – umrę, umrę. Może piwo?

A nazajutrz, jak co rano, zaszedłem do niego na kawę. Gdzieś w tle, za oknem, dolatywała zabawna sygnaturka furgonetki rozwożącej lody. Po wczorajszym przygnębieniu Alfiego nie zostało już ani śladu.

– Umrę, umrę – śmiał się Alfie, gdy Sammy pałaszował swoje papierki.

– Jak i wszyscy – dodałem, nie byłem jednak pewien, czy podzielać z nim ten nastrój. Zapytałem więc Sammy’ego o wynik wczorajszego meczu. Lecz wnet tego pożałowałem, pies bowiem jak tylko usłyszał słowo „football”, zaraz pognał po piłkę. Rzuciłem więc szybko Alfemu, że muszę już lecieć i czym prędzej zamknąłem za sobą drzwi kuchni. W samą porę, bo gdy to zrobiłem, z drugiej strony rozległ się wielki łomot, futryna aż się zatrzęsa i usłyszałem prerażliwy pisk.

STAWIANIE PYTAŃ *O pisarstwie Martina Pollacka*

Elżbieta Hurnikowa

Wydana w Polsce w bieżącym roku książka Martina Pollacka *Dlaczego rozstrzelali Stanisławów* (przeł. A. Kopacki, wyd. czarne, Wołowiec 2009) stanowi zbiór reportaży pochodzących z różnych lat; pierwszy, jak objaśnia autor w *Słowie wstępnym* (s. 6), ukazał się na łamach czasopisma „Transatlantyk” przed dwudziestu sześciu laty, inne powstawały w latach dziewięćdziesiątych i w ostatnim okresie. Istotny jest cel, jaki pisarzowi przyświecał w przygotowaniu owego wyboru, dążenie do utrwalenia czasu transformacji: *z jednej strony to już historia, przeszłość, którą zajmują się uczeni, z drugiej zaś ów okres bynajmniej nie został zamknięty i oddziałuje nadal* (s. 6). Świadomość tego, że przeszłość tak naprawdę nigdy nie zostaje zamknięta, winna być ważnym składnikiem współczesnego myślenia o świecie, bowiem, jak podkreśla Pollack, *niejedno z tego, co uważaliśmy za minione, istnieje nadal bądź pojawia się w nowej szacie* (s. 7).

Refleksje na temat historii, jej powtarzalności i paradoksów, wyraża pisarz, odwołując się do sylwetek poszczególnych postaci – Polaków, Niemców, Żydów, osób bliskich i nieznanych, po to, *aby ich losy i czyny nie popadły w zapomnienie* (s. 9), a lektura książki przekonuje, że właśnie losy jednostkowe, czy, mówiąc słowami autora, migawki, są najbardziej przejmujące, stanowią bodaj najbardziej przekonującą wykładnię wydarzeń historycznych.

Do obszaru ważnych tematów, jakie porusza książka Pollacka, należy nazizm. W rozdziale o znaczącym tytule *Niesamowita normalność* temat ten wiąże autor z historią własnej rodziny, z dziadkiem nazistą, który uwa-

żany był za przyzwoitego, porządnego, kochającego bliskich człowieka. Nie stanowił on wyjątku; w świetle tego wspomnienia jawi się jako reprezentant pokolenia ludzi oddanych narodowej wspólnotce, ludzi wyzbytych wstydu i poczucia i winy. *Tacy byli nasi ojcowie i dziadkowie* – konkluduje Pollack, stawiając jednocześnie pytanie dotyczące kondycji późniejszej generacji, która musiała się uporać z ciężarem przeszłości, z historią własnych rodzin: *Czy też takie było doświadczenie większości ludzi, którzy dojrzeli w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych w Austrii i Niemczech?* (s. 15).



Fot. Leszek Piłchowski

Odpowiedzi na to pytanie można szukać także w twórczości innych pisarzy. Gerhard Roth, twórca z kręgu „Grazer Gruppe” (Grupa z Grazu), działającej w latach 60. i 70., w wywiadzie publikowanym w roku 1997 na łamach „Literatury na Świecie” (nr 1-2), przypominał, że w *czasach III Rzeszy spośród Austriaków rekrutowało się nieproporcjonalnie wielu oprawców obozów koncentracyjnych* (s. 126). Narodowy socjalizm w erze „przedwaldheimowskiej” (według określenia pisarza) stanowił temat tabu, toteż Austria nazwana tu została *królestwem milczenia* (s. 129), w którym trudno było o jakiegokolwiek publikacje odnoszące się do okresu III Rzeszy. Penetrując i poznając niedawną przeszłość, Roth zmuszony był skonfrontować się z historią własnej rodziny; w rozmowie wyznaje: *Musiąłem poradzić sobie z przynależnością moich rodziców do NSDAP, co było trudne i przygnębiające* (s. 130). Dziedzictwo przeszłości, z którym przyszło zmierzyć się pokoleniu powojennemu, stało się tematem podejmowanym przez współczesną literaturę austriacką, rozprawiającą się z utrwalonymi przekonaniem politycznymi, pojęciami moralnymi oraz ze skostniałymi kryteriami estetycznymi.

W książce Martina Pollacka poruszony został także problem żydowski. Rozdziały omawiające wyłączenie Żydów (zajmował się nim również dziadek autora), „odzydzanie”, losy Żydów na Ukrainie, charakteryzują postawę pisarza wobec różnych przejawów antysemityzmu. Postawę tę bodaj najlepiej ukazuje książka *Ojcobójca. Sprawa Filipa Halmanna* (wydanie polskie: przeł. A. Kopacki, wyd. czarne, Wołowiec 2005), w której Pollack wnikliwie prześledził okoliczności procesu Filipa Halmanna, oskarżonego u schyłku lat 20. wieku XX o zamordowanie ojca, 48-letniego dentysty z Rygi, podczas górskiej wyprawy w tyrolską Dolinę Ziller. Fakt, iż oskarżony i jego ofiara byli Żydami, oraz materiały dotyczące procesów poszlakowych prowadzonych w Innsbrucku, przestudiowane doniesienia prasowe przekonały pisarza, że wokół całej sprawy wytworzył się klimat zdecydowanie antyżydowski, nie tylko w Tyrolu. *Wypadek ten stał się jedną z największych afer okresu międzywojennego* (s. 335), na temat której wypowiadali się intelektualści, prawnicy, psychologowie, jak np. Zygmunt Freud, Albert Einstein, Erich Fromm. Według autora, proces Halmanna ujawnił sprzeczności i przeciwieństwa w łonie ówczesnego społeczeństwa austriackiego: „*Czarna prowincja*”, *chłopsko-katolicki Tyrol, stawala przeciwko „czerwonemu Wiedniowi”*; *klerykałni antysemici chcieli wykorzystywać tę sprawę do swoich celów tak samo jak volkistowsy studenci i narodowi socjaliści; żydowscy autorzy, asymilanci i syjoniści, reagowali na to krytyką, która często wykraczała poza ramy samej*

sprawy (s. 334-335). Filip Halmann po uwolnieniu wyjechał do Francji, a w 1940 roku wraz z rodziną udał się do Stanów Zjednoczonych; stał się jednym z najbardziej znanych fotografów świata, autorem zdjęć popularnych postaci ze świata literatury, polityki, filmu. Do przeżyć z lat młodości nie wracał, sprawa ta została wyparta z pamięci zbiorowej. Pollack, przypominając okoliczności procesu, przedstawiając losy Halmanna, jednocześnie rekonstruuje sytuacje, w jakich rozdził się faszyzm.

Tytuł książki *Dlaczego rozstrzelali Stanisławów* pochodzi od jednego z zawartych w niej reportaży. *W Słowie wstępnym* pisarz wyjaśnia, jak trafił na historię przedstawianych w reportażu postaci; przypadkowo natknął się na cmentarzu w wiosce w Burgenlandzie, w której mieszka, na grób dwóch Polaków, Stanisława Grzanki i Stanisława Mędrka, zmarłych w 1945 roku. To przypadkowe znalezisko zrodziło pytanie: *Co przywiodło obu Stanisławów do Bocksdorfu, w jaki sposób ci dwaj, osiemnasto- i dwudziestolatek, stracili życie? To właśnie próbowałem ustalić w rozmowach z pamiętającymi tamte czasy mieszkańcami wsi. Kilka istotnych pytań pozostało bez odpowiedzi – jak zwykle – jak zwykle w takich historiach, które wydarzyły się dawno i dotyczą rzeczy nieprzyjemnych* (s. 5). Objaśnienie to obrazuje, skąd Pollack czerpie impulsy do swojego pisarstwa, jak mocno tkwi ono korzeniami w historii, w autentycznych wydarzeniach. Jednocześnie jednak widoczne jest dążenie pisarza do ukazania, jak historia istnieje obecnie, jak determinuje mentalność, światopogląd, wrażliwość współczesnego pokolenia.

Twórczość Pollacka łączy dziennikarstwo z literaturą. Jego książki dowodzą, że pisarz jest znawcą literatury słowiańskiej i historii Europy Wschodniej (studiował te kierunki w Wiedniu i w Warszawie), a jednocześnie mistrzem relacji – zarazem reporterskiej i literackiej. *Ojcobójce* czyta się jak powieść kryminalną, choć osadzona jest w materiale dokumentalnym, *Dlaczego rozstrzelano Stanisławów* to zbiór tekstów, które są czymś więcej niż reportażem. O jednym z nich, opartym na znalezionej paczce fotografii pochodzących z okupowanej Polski, autor napisał: *Również ten reportaż raczej stawia pytania, niż udziela odpowiedzi* (s. 5).

Stawianie pytań jest ważniejsze niż znalezienie ostatecznej odpowiedzi, rozwiązania, zakończenia jakiejś historii. W *Ojcobójce* czytamy: *Wszelako pytanie, kto we wrześniu 1928 roku rzeczywiście popełnił morderstwo w Dolinie Ziller, musi pozostać bez odpowiedzi* (s. 337). Stawianie pytań jest ważne dlatego, by czerpać wiedzę o minionym pokoleniu, a zarazem o nas samych - z historii, po to, by najtrudniejsze doświadczenia przeszłości nie powróciły i nie objawiły się w jeszcze groźniejszym wydaniu.

Martin Pollack w Częstochowie

Piętnastego maja w częstochowskim Ratuszu miało miejsce spotkanie z austriackim pisarzem, eseistą i tłumaczem Martinem Pollackiem. Pisarz przybył do Częstochowy głównie dzięki staraniom Centrum Języków Europejskich współpracującym z konsulem austriackim. We wczesnych godzinach popołudniowych spotkał się z pracownikami i słuchaczami CJE, uczestnicząc w podsumowaniu warsztatów dotyczących twórczości Martina Pollacka, a potem - z szerokim gronem zainteresowanych jego pisarstwem w Sali Reprezentacyjnej Ratusza. W charakterze moderatora wystąpiła dr Zofia Weisswasser z Uniwersytetu Wiedeńskiego, utrzymująca od wielu lat kontakty naukowe z CJE oraz z Akademią im. Jana Długosza w Częstochowie.

Gości przywitał Prezydent Miasta Częstochowy Tadeusz Wrona. W swojej wypowiedzi podkreślił przede wszystkim znaczenie książki Pollacka „Po Galicji. O chasydach, Huculach, Polakach i Rusinach. Imaginacyjna podróż po Galicji Wschodniej i Bukowinie, czyli wyprawa w świat, którego nie ma”

(polskie wydania: 2000, 2007), poszerzającej obszary wiedzy na temat Galicji i Kresów. W dyskusji, jaka rozwinęła się po zaprezentowaniu sylwetki pisarza przez dr Weisswasser, podjęto ten wątek, a także budzący szczególnie zainteresowanie wśród uczestników rozmowy temat Europy Środkowej. Martin Pollack świetnie mówi po polsku, co nie tylko znacznie ułatwiło kontakt pisarza z rozmówcami, ale też zdecydowało o klimacie dyskusji.

Głównym punktem spotkania była prezentacja ostatniej książki Pollacka „Dlaczego rozstrzelali Stanisławów” (Wołowiec 2009). Rozmowa skoncentrowała się tutaj na bardzo trudnych doświadczeniach, jakim dla pokolenia powojennego w Austrii była nazistowska przeszłość ojców i dziadków; zrodziła ona potrzebę i konieczność dokonywania rozrachunków z historią własnej rodziny, a także z historią narodu. Pollack wypowiadał się także na temat tytułowego reportażu oraz tworzywa własnej twórczości, stosunku wobec losów jednostkowych i wobec historii. Z rozmowy tej wynikała refleksja, że powinnością pisarza jest przede wszystkim poszukiwanie prawdy. Książki autora „Ojcobójcy” dobitnie to poświadczają.

Elżbieta Hurnikowa



Wspomnienie o Marianie Jakubowskim

Jego Magnificencja Rektor - człowiek renesansu - bon vivant...

Joanna Grochowska

4 czerwca to dla mnie data szczególna. I wcale nie dlatego, że w 1989 r. z radością uczestniczyłam po raz pierwszy - w ogóle - w dodatku w wolnych wyborach. Dlatego, że 15 lat wcześniej, czwartego czerwca 1974 roku, w piękny słoneczny dzień, broniłam pracy dyplomowej na kierunku opieka nad dzieckiem z zająciami praktyczno-technicznymi, u promotora, który był pierwszym, najmłodszym (tylko 39 lat) rektorem Wyższej Szkoły Nauczycielskiej (powołanej w 1971 r. w miejsce Studium Nauczycielskiego), doc. dra. Mariana Jakubowskiego. Człowieka niepospolitego, mądrego, nadzwyczaj zdolnego, o wielkiej wyrafinowanej inteligencji, który językiem polskim władał jak Wołodjowski szabłą, wprawiając w zdumienie, a często zakłopotanie swoich podwładnych, studentów, gości, interlokutorów. Był absolutnym mistrzem riposty, zgrabnej, zręcznej, często przewrotnej i niesamowicie wieloznacznej, co określało jego szerokie horyzonty myślowe, renesansowy umysł, pozostawiając ponad podziałami ideowymi, a trzeba pamiętać, że działał i pracował w latach rozkwitu czasów jedynie słusznych z Gierkiem jako narodowym guru, kiedy powtarzano jak mantrę: „Wolno jest myśleć. Nie wolno jest tylko myśleć inaczej” (Żarko Petan). W praktyce znaczyło to, że formalnie musiał być członkiem PZPR, co wcale nie przekładało się na typowe w tym zakresie zachowanie wobec władzy. Rektor Jakubowski szanował przede wszystkim ludzi myślących „inaczej”, zwłaszcza kiedy przywiązani do odmienności myślenia konsekwentnie go preferowali. Potrafił wysłuchać z uwagą największych wrogów ideowych, bowiem w sposób niezwykle łatwy zjednywał sobie sympatię ludzi, jako człowiek otwarty, ciekawy świata i bez skłonności do odwetu. A jego mantrą były sentencje Stanisława Jerzego Leca: „Nie wystarczy mówić do rzeczy - trzeba mówić do ludzi”, czy Karela Čapka, że „tylko głupiec nie ma wątpliwości”.

Był też człowiekiem nieprzewidywalnym, bo np. przestrzegając służbowej elegancji, na moją i moich kolegów obronę przybył w jasnych spodniach i bawełnianej koszulce polo, uprzednio instruując studentów o godnym wyglądzie zdającego. Na tym polegała jego przewrotność, jego chichot jako człowieka władzy, do której miał niesamowity dystans.

Był bardzo wymagającym partnerem, ale też posiadającym dar życzliwego słuchania, traktowania



Archiwum Autorki

i pomagania osobom, które uznawał za zdolne. Lubiał uczestniczyć w ich kreowaniu i w tym nie znośił sprzeciwu. Umiał wyzwać pozytywną energię i wiarę w siebie bezinteresowną sympatią i celną, choć bezpardonowo lapidarną oceną. Nie szanował ludzi uległych, miękkich, skłonnych do hipokryzji, dyspozycyjnych do bólu. Wtedy potrafił być bezwzględny, zimny, wy kalkulowanym człowiekiem, ze skłonnością do złośliwego dokuczania, a nawet prześmiewania.

Nigdy nie zapomnę pierwszego z nim spotkania, kiedy przyjechał prosto z Warszawy na spotkanie z bracią studencką, w ówczesnej auli WSN, przy dawnej Alei Zawadzkiego (dziś Armii Krajowej), kiedy to nikt specjalnie nie zauważył, niepozornego, podłyśiałego blondyna z wydatnym nosem, chętnie konwersującego z oczekującymi na spotkanie z Jego Magnificencją Rektorem nowej Alma Mater. I jakież było zdziwienie nas wszystkich, kiedy ten już zaprzyjaźniony „kumpel” wszedł na scenę i nagle objawił nam się jako nasz rektor, zawstydzając wszystkich bezpośredniością, swobodą bycia, nienaganną, dowcipną i pełną polotu polszczyzną. Naturalność, z jaką pełnił tę funkcję, była wtedy czymś absolutnie nie-

WSPOMNIENIE



Studentki czyn społeczny (Archiwum Autorki)

zwykłym i w pełni zaskakującym, nawet dla tych, którzy już mieli za sobą romans ze studiami.

Zadęcie i pompę zastąpił luzem, swobodą i ciepłym, trafnym dowcipem, choć faktem jest, że nie była to jeszcze oficjalna inauguracja roku akademickiego (pierwszy rok ze względów organizacyjnych zaczynał zajęcia już 15 września, krótko jeszcze obowiązywały dzwonki „na lekcje” i noszenie obuwia

zmiennego, tak jak to było w przekształconym Studium Nauczycielskim!), a nieformalne spotkanie studentów nowopowołanej uczelni z jej pryncypałem. Niezależnie od wszystkiego, były to czasy dętej siemniężczyzny, a swada, ekokwencja, które przywiozł ze sobą, były zupełnie nową jakością.

Zdobył sympatie wszystkich, głównie kobiet, bo szybko się okazało, że jest czuły na ich wdzięki, choć różnie się to kończyło dla samych zainteresowanych. Był rzutkim, skupionym na powiększaniu uczelni rektorem, ale np. świetnie się bawił na juvenaliach na pieczeniu barana, pomysłu mojego kolegi z grupy, niezującego już Andrzeja Gąski (byłego pracownika dydaktycznego WSP w Opolu) i wcale mu to nie przeszkadzało być surowym, wymagającym promotorem, dbającym o rozwój swoich podopiecznych przez wysokie wymagania źródłowo-bibliograficzne, które przy pisaniu pracy dyplomowej wskazywał osobiście w dużych ośrodkach bibliotecznych kraju. Pot i łzy towarzyszące pisaniu pracy zostały nagrodzone pełną sympatią i empatią postawą rektora Jakubowskiego na obronie, kiedy stawała ona się bardziej rozmową o studiach i ich kresie, niż faktyczną próbą weryfikowania nabytej wiedzy. Doskonale rozładowywał egzaminacyjny stres, a jako świetny obserwator i wieloletni nauczyciel akademicki, umiał właściwie ocenić poziom przygotowania do pracy. Ci wszyscy, którzy się go bali, a liczna była grupa takich ludzi (w pierwszym terminie nikt się do docenta Jakubowskiego na seminarium dyplomowe nie zapisał), potem nam, „wybrańcom”, przymuszonego losu zazdrościli. Nie tylko byliśmy pierwsi, ale i mieliśmy atmosferę iście akademicką, sprzyjającą spokojnemu zdawaniu i obronie.

4 czerwca 2009 roku minęła 35 rocznica tego pierwszego dyplomu, w grudniu 2009 roku - 19 lat od chwili śmierci Rektora. Zbudował, jak na owe czasy, dużą uczelnię humanistyczną, ale dziś już

mało kto go pamięta, częściej wspominając jego słabości niż zasługi, a są one niepodważalne, tak jak niepodważalnym jest fakt, że już nigdy rektora takiego formatu uczelnia ta nie miała. Mam na myśli prawdziwie nieprzeciętną humanistyczną, renesansową osobowość, której nie ma potrzeby budować żadnego pomnika, bo siła emanująca z tej postaci obroni ją sama.



Fot. Łaszek Piłichowski

WIOSENNE PODWÓRKO

Zbislaw Janikowski

Z popołudniowej drzemki wyrwały mnie głucho dudniące uderzenia i towarzyszące im wrzaski. Przez dobrą chwilę nie mogłem rozróżnić, gdzie sen, gdzie jawa, czy okrzyki i nawoływania skierowane są do mnie, czy... Niestety, nie do mnie, to chłopcy kopiący zawzięcie piłkę, kolejny podwórkowy mecz o wszystko...

Podobnie wyglądało moje popołudnie ileś lat temu. Siedziałem przy stoliku nad jakimiś słupkami czy inną „domową” katorżniczą pracą, a za oknem, na wyciągnięcie ręki, był inny świat. Wreszcie decyzyja – mam, zrobione, idę – i tyle mnie widzieli, a że zrobione nie było, to nic, przecież będzie jeszcze czas jutro rano, są też szkolne przerwy, na pewno się zdąży.

Piłka, taka prawdziwa piłka, była wielką rzadkością, często nieziszczalnym marzeniem, skarbem. Po wielu zabiegach, prośbach, staraniach (a podstawowy warunek: być bardzo grzecznym) dostałem taką, ale szybko przestała być piękna i nowa. Zużyła się i dopiero wtedy, gdy trzeba ją było łątać, zszywać, kleić stała się ulubionym i cennym wyczynowym sprzętem sportowym. Takie stare piłki, gały, futbolówki, służyły latami, zawsze znalazł się koleś, który znał się na piłczanej reanimacji, który chodząc w glorii chwały, brał to coś do domu i koszem nieodrobionych lekcji i zarwanej nocy, doprowadzał piłkę do stanu używalności, z gwarancją, że do przerwy wytrzyma. Czy wytrzymała, nie pamiętam. Pamiętam za to za przeróżnego boiska (czytaj stadiony), od małego trójkątnego placu, przez wyłożone cegłą sąsiednie ogromne podwórce, po inne kamieniste lub ziemne, ubite jak beton, aż po prawdziwe. Na tych rzadko dochodziło do meczów, bo skąd wziąć dwie jedenastoosobowe drużyny, więc na takim boisku odbywały się równolegle i cztery mecze kilkusobowych drużyn, mecze na jedną bramkę, a gdy prawdziwych boisk brakowało, wyznaczano prowizoryczne, umowne, oznaczone szkolnymi teckami, ułożonymi na kupę wierzchnimi ubraniami lub kamieniami, każdy sposób był dobry, zwycięzał czysty amatorski sport, będący pod opieką ducha sportowego. W czasie deszczu można było rozegrać mecz w bramie kamienicy, tu jednak największą przeszkodą okazywał się stojący na straży porządku stróż (lub bardziej demokratycznie: dozorca). Podwórko-

we boiska miały jeden wielki handicap, bramkę, w którą zamieniał się podwórkowy trzepak; w niczym nie przeszkadzało, że trzepak często usytuowany był w rogu podwórza, dawało to dodatkowe możliwości doskonalenia taktyki gry i techniki zawodników. Przeszkodą były też szyby w oknach, szczególnie te na parterze oraz nadpobudliwi lokatorzy, szczególnie ci, co zupełnie nie znali się na piłce i uważali, że wspaniałe akcje można budować w ciszy lub nie cieszyć się ze zdobytych bramek.

Problemem był brak klasowych zawodników, no bo jak skompletować drużynę marzeń, team gwiazd, gdy jeden nosi już prawie węża a drugi „świeczkę” pod nosem, gdy jeden ma dwie lewe nogi, a drugi z futerałem, w którym taszczy skrzypce, idzie akurat na lekcję, gdzie będzie ćwiczył jakieś tam gamy. W takich sytuacjach rodziły się najwspanialsze wynalazki: gra jeden na jednego (na jedną bramkę) lub wielogodzinny konkurs jedenastek na prawdziwą trzepakową bramkę. Nic zaś nie wychodziło z prób przyuczenia do gry dziewczyn, taka nie radziła sobie nawet w bramce, mimo, że pozornie była skoczna, przecież pół dnia miało jej na grze w klasy.

Różnie rozwiązywano sprawy sportowego sprzętu; gdy zabrakło prawdziwej piłki, pojawiała się szmanciana, coś co w przybliżeniu przypominało piłkę. Stosunkowo nieduży przedmiot, jak sama nazwa mówi, wykonany był ze szmat, przypominał małą poduszeczkę lub zwinięte w kłębek skarpety (bo też często stare skarpety były szmanciankowym tworem) a dla ludzi z wybujałą wyobraźnią mini-piłką do rugby, obciążony umieszczonym we wnętrzu kamieniem lub małym odważnikiem dla nadania szmanciance odpowiedniej wagi i stabilności.

Technika gry była szalenie prosta, należało szmanciankę położyć na wierzchniej części buta, podrzucić w powietrze a następnie (najlepiej z woleja) kopnąć na pole przeciwnika. Grało się jeden na jeden lub dwóch na dwóch, czyli według tenisowej terminologii - w singla lub debła, o mikście nie słyszałem. Wielkość boiska wynikała z naturalnych warunków, wymierzano ją sprawiedliwie i precyzyjnie stopami, tak by żadna ze stron nie była pokrzywdzona. W jednym przypadku, w znajomej, zaprzyjaźnionej bramie część boiska od strony podwórza narażona była na wrogie działanie stróża, który w czasie interwencji w sposób naturalny miał bliżej do zawodników zajmujących pole gry od tej właśnie strony. Niejeden z nich dostał niespodziewanie miotłą, bo stróż prowadził wojnę podstępnie, nie przestrzegał umownych konwencji, czyli nie wrzeszczał, nie wyrzekał, tylko zakradł się i łał. Inne zasady i zawiłości regulaminowe wywietrzyły mi z głowy, zresztą nigdy nie były zapisane lub opublikowane.

SENTYMENTY

Jeszcze inną zabawą, opartą na podobnych zasadach, była – „zośka”. Kto i dlaczego wymyślił taką nazwę pewnie nigdy się nie dowiemy. Przemysłnie wykonana z kolorowych luźnych kawałków włóczki, sprytnie połączonych kawałkiem ołowiu, metalu bardzo miękkiego i plastycznego, który zwykłym młotkiem można było rozklepać a następnie sklepać ponownie, wiążąc w ten sposób odpowiednią ilość tych włóczkowych kawałków. Pewnie, że nie każdy był w tej dziedzinie fachowcem czy artystą, bo oprócz warunków technicznych „zośka” była piękna i kolorowa, wzbudzała podziw, stanowiła obiekt pożądania.

A tak w ogóle, to kopać można było wszystko i wszędzie. Nie zapomnę, jak jeden z moich kolegów, po uroczystym majowym, na które poszedł wystrojony w komunijny garnitur i komunijne buty, w drodze powrotnej tak zawzięcie kopał kawałek cegły, że czubki butów trwale straciły swój czarowny blask i szczerwieniły od ceglanych podkopywań.

Nieliczni posiadacze prawdziwych piłek lub co najmniej sprzętów piłkopodobnych uprawiali namiętnie siatkówkę trzepakową. Dyscyplina ta nie miała zbyt wielu amatorów, bo i o wzorce było trudno, a zasad gry to już nikt nie znał, i choć serwowanie jeszcze jakoś wychodziło, to przyjęcie i odegranie sprawiło poważne kłopoty, zresztą kto i do kogo miał zagrywać, gdy przeważnie drużyny były jedno lub dwuosobowe.

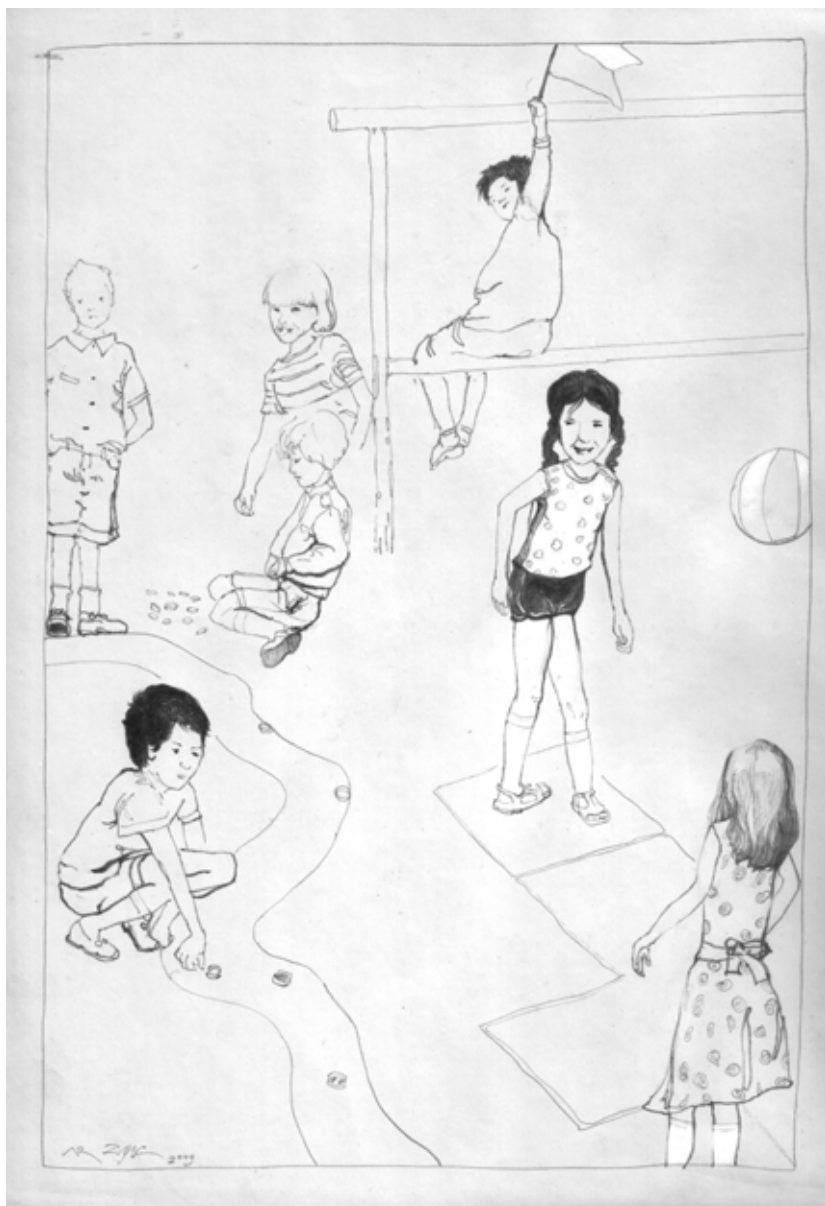
Zajęcia piłkarskie przeplatały się z innymi, równie atrakcyjnymi sportami: uprawialiśmy biegi krótkie (sprint) „od płota do płota”, średniodystansowe wokół podwórka i uliczne – długodystansowe, wokół kwadratu śródmiejskich ulic (Dąbrowskiego – Jasnogórska – Kilińskiego – Raclawicka lub Aleje). Ostatni dystans był morderczy, choć bezpieczny, poza konnymi dorożkami, i to nielicznymi, innych pojazdów nie napotykaliliśmy. Był jeszcze prawdziwy bieg z przeszkodami, trasą przez kilka podwórek i kilka płotów, z pokonywaniem betonowego śmietnika - wielkiego jak przeciwpancerne bunkier – z metą przy okrągłym okienku na najwyższym piętrze klatki schodowej.

Trudną i nie dla wszystkich dostępną sztukę stanowiła wspinaczka. Zwykły drewniany płot lub kamienny mur od Sienkiewicza były co najwyżej rozgrzewką wobec, gładkiego jak bajkowa szklana góra, dwumetrowego drewnianego płotu u Klepaciego lub pionowa ściana szopy zbudowanej przez pana Adama. Ta ostatnia po sforsowaniu stwarzała możliwość spoglądania z góry na ów betonowy śmietnik lub zagładania do kuchni, gdzie mama Staska przyrządzała właśnie obiad a na desce leżały przygotowane do smażenia wspaniałe schabowe

kotlety. Innym obiektem wspinaczkowym był pień ozdobnego jesionu, o tyle trudny, że gładki jak odpustry słup wysmarowany mydłem z zawieszonym na czubku piętym kielbasy lub butelką wódki. Tu takich fantów nie było, zdobywca zyskiwał co najwyżej uznanie kolegów i to nie zawsze, bo przegrani wszelkimi dostępnymi i niedostępnymi sposobami starali się pomniejszyć jego sukces. W końcu jesion wycięto, oficjalnie dlatego, że dawał za duży cień (choć w kącie gdzie rósł nigdy słońca nie było). Skłonny jestem przypuszczać, że stało się to za sprawą tych, którzy na tym drzewie nigdy nie byli i tak jątrzyli, tak podzegli, aż je wycięto. Inne drzewa, już na sąsiednim podwórku a raczej resztkach ogrodu a może sadu, były niezmiernie łatwe do zdobycia. Niebezpieczna była tylko stara czereśnia, tak krucha, że spadało się z niej wraz z odłamującymi się gałęziami, ale to nas teraz nie interesuje, pora owoców dopiero przed nami.

Z ekstremalnych sportów na szczególną uwagę zasługuje wspinaczka na dachy kamienic. Nie było to łatwe, bo samo wyjście na dach znajdowało się albo na zamkniętym na klucz strychu albo w korytarzu, wysoko nad podłogą, a drabinki nie było. Jakoś radziliśmy sobie, Jędrus przynosił z mieszkania kuchenny stołek, ale ten sprzęt był niedoskonały, wprawdzie udawało się złapać za krawędź dywnika, ale jak podciągnąć się w wąskim otworze? Na stołek musiał wejść następny i podesadzić tego wiszącego, karkołomna ekwilibrystyka, ale wykonalna, równocześnie niesprawiedliwa – jeden zostawał, więcej narazony był na represje ze strony lokatorów i stróża. Doskonaliliśmy więc sposoby zdobywania niedostępnego dachu, zorganizowaliśmy jakąś drabinę i stosowali indiańskie sposoby cichego skradania się i omijania różnych pułapek. Czasami szło dobrze, ale zdarzały się potworne wypadki. Przyczyną jednej była metalowa balia o średnicy co najmniej półtora metra, wypelniona wodą z mydlinami i ustawiona na trzech taboretach. Stała to na strychowym korytarzu (bo tam na facjacie ktoś zamieszkiwał), a my skradaliśmy się w absolutnej ciszy i już prawie się udało, gdy któryś sięgnął po jeden ze stołków podpierających balię. Nastąpił czas apokalipsy, łoskot, powódź, rozlane mydliny zmieniły deski podłogi w lodowisko, nasze wrzaski równe były bojowym okrzykom całego plemienia Siouksów – konsekwencje odczuł nie jeden z nas bardzo boleśnie, jako że w tych czasach nie było żadnego Rzecznika Praw Dziecka i mało kto przestrzegał gwarantowanych nam konstytucją praw. Zresztą, nie wiem czy ówczesna peerelowska konstytucja, uchwalona w 1952 roku na warszawskim Placu Konstytucji (tak to wtedy wykombinowaliśmy), uwzględniła nasz przypadek, przez władze byłby pewnie uznany za wybrzek chuligański.

SENTYMENTY



Arkadiusz Zajac

SENTYMENTY

W końcu docieraliśmy do celu wyprawy, na dach: niczym nieograniczona swoboda (no, może tylko krawędziami dachu na kilku wysokich przedwojennych piętach), wspaniałe widoki na miejskie krajobrazy, a widok był zaiste niezapomniany. Cebulkowate kopułki czterech wieżyczek na kościele św. Jakuba i jednej wielkiej cebuli-kopuły po środku, blaszana, lśniąca w słońcu tafla teatralnego dachu, zieleń i białe świeczki kwitnących kasztanów, wieże ratusza i kościoła ewangelickiego, szklany (popsuty, tak jak i teraz) zegar na pocztce, biały wąż koszar Zawady i, jak na dłoni, Jasnogórski klasztor. Mali (z tej wysokości) ludzie na ulicach, maluchy - dla których dach był niedostępny - grzebiące w kupie piasku leżącej na podwórzu, stróż uzbrojony w miotłę, czyhający się w oczekiwaniu na nasz powrót. A ten musiał wreszcie nastąpić - jeszcze tylko penetracja kominów, w których zagnieździły się kawki, kontrola, w którym wykluły się już młode, jeszcze nieopatrzone „sztachnięcie się” duszącym dymem z kominia połączonego z „czynnym” piecem kuchennym - i umorusani, pełni wrażeń, rozpoczynamy ewakuację. Do schodów wszystko przebiega sprawnie, bezszelестnie, idziemy jak najprawdziwsi Indianie, ale... Na półpiętrze czai się stróż, krótka wojenna narada i z góry, z potwornym wrzaskiem rusza indiańska nawałnica, stróż Stanisław baranieje, a my omijamy go szczęśliwie i rozbiegamy się w świata cztery strony, szukaj pan wiatru w polu.

W późniejszych latach dach stał się rodzajem wiosennego korso, siedzieliśmy na nim, a naprzeciwko, w czynsowej oficynie na drugim piętrze, w oknie wygrzewały się dziewczyny i tylko stróż Stanisław nic dalej nie kumał.

Wrócmy jednak do przedziwnych podwórkowych zajęć. Młode kawki, które legły się w ogromnych ilościach, same później wpały w nasze ręce. Próbowano toto samodzielnych lotów i spadało, cho wało się w jakiejś niedostępnej dziurze i tylko my, zwabieni skrzeczeniem, mogliśmy takiego wierznia oswobodzić. Oczywiście, trzeba go było odpowiednio opatrzeć, nakarmić, napić - a to za przeproszeniem bydlę - nie chce ani zreć, ani pić, mało tego, nad głowami krąży z pół setki dorosłych osobników skłomnych - jak w „Ptakach” Alfreda Hitchcock’a - do zmasowanego ataku. Groza i „masakra”.

Myli się, kto przypuszcza, że dachy były jedyną atrakcją, na antypodach dachów leżały piwnice, wiało z nich stęchlizna, wilgocia, a przede wszystkim groza, a poza tym nic ciekawego. No, może oprócz tego, że bały ich się panicznie dziewczyny i Stasiek.

O tak popularnych grach podwórkowych, jak w kopę, traćca i noża nawet nie warto wspominać - kto ich nie zna, kto nie uprawiał. Natomiast gra w „Państwa i Kolonie” zasługuje na głębszą anali-

zę. Zacząć trzeba od tego, że my, mieszkańcy pokojowo nastawionego kraju, który zniósł wyzysk człowieka przez człowieka, rozprawił się nawet z kulakami i nie bał się odwetowców spod znaku Adenauera, uprawialiśmy dziecięcą grę propagującą kolonializm. Drzemały w niej echa mocarstwowej, przedwrześniowej polityki, nasz „ciąg” na własne kolonie, przecież na przykład taki Kame-run odkrył jakiś Janikowski. Nieraz marzyłem, jak pięknie byłoby być gubernatorem lub wicekrólem, siedzącym na trzcinowym tronie, pod palmami, w chłodzie wachlarzy ze strusich piór, obsługiwanych przez roslých (w moim mniemaniu) Pigmejów. A nasza gra - koło lub kwadrat ubitej podwórkowej ziemi, na którym ostrzem noża wyznaczono obrys dziwnego kontynentu, na którym są państwa uczestników gry. I znowu w robocie jest nóż, rzuca się nim za siebie i jeżeli spadnie i wbije się w ziemię przeciwnika, mamy bezwzględne prawo aneksji części wrogiego terytorium. Piękne kraje są szatkowane, zajmowane, odzyskiwane, powstają kolonie (nieśmiałe próby ustanowienia dominiów zduszone były w zarodku, bo nikt nie wiedział, co to takiego), kreśli się zdobyte terytorium poprzecznymi liniami jak na prawdziwej mapie - ot, pokłosie imperializmu. Tylko przegrywający, konusowaty Mietek, zachowywał się jak potężny Sowiecki Sojuz i nie uznawał granic, zabierał co chciał, lub bosą pięcią ścierał kontury zwycięskich państw, ze swoim włącznie.

W podwórkowej hierarchii najwyższej stały zabawy rowerowe. Sam fakt posiadania roweru nobilitował. Nim pojawiły się na naszym rynku masowe produkcje bydgoskiego Rometu, nim kraj zalała fala komunistycznych rowerowych prezentów, każdy posiadacz dwukołowego pojazdu z własnym napędem był kimś. Sportowo wyczynowe „cuda” posiadali osławieni cyklicyści, a szare masy poruszały się na czymś popularnie zwanym „kozą”, może ze względu na wygiętą w kształcie rogów kierownicę. Rozpowszechniony był też rower dla pań, popularnie zwany „damką”. Tu każdy szczegół konstrukcji był damski, rama łukowato wygięta, bez poprzeczki, umożliwiała skromne wsiadanie i zsiadanie bez pokazywania koloru bielizny, sztywność a nie wulgarnie męskie zdzieranie nogi. Dalej siodełko - mała wygodna kanapa z dwoma pionowo umieszczonymi sprężynami, które na największych dziurach zapewniały łagodną amortyzację a nie bolesne telepanie lub jazdę na stojąco. Czasami mimo sporych rozmiarów siodełka widać było, że nie cała jejmość mieści się na nim, to jednak można było zapisać na konto dziwów natury. Tył takiej damki a ściślej jej tylne koło osłaniała misterna (dla urody wielokolorowa) siateczka, nawet peda-

ły były gumowe, szerokie a nie stalowe ząbkowane lub sama pedałowca ośka. Szczytem damskiego wyposażenia były koła uzbrojone w opony balonówki, pompowane na „międko”, co spowolniało jazdę ale podnosiło jej komfort. Ta konstrukcja pobudzała do śmiechu ale z braku laku jeździło się i na tym. Sama jazda to było jedno, prawdziwy rowerzysta powinien co najmniej raz dziennie dokonywać przeglądu swej maszyny. Stawiało się więc rower do góry kołami, odkręcało co tylko się dało, regulowało napięcie łańcucha, rozbrajało torpeda usuwając zapiaszczony towot czyściło łożyska, zawsze wtedy ginęła część łożyskowych kulek, pompowało, centrowało, dociągało lub luzowało i tak do następnej jazdy, po której trzeba było znowu coś poprawić.

Wreszcie jazda, spokojne ulice, po których z rzadka porusza się jakiś samotny samochód, asfaltowe aleje kuszą, kierunek pod park i szalony powrót w kierunku placu jest przeciwieństwem z górki, trochę trzęsienie kostka którą wyłożony jest plac i znowu gładkie aleje, łagodny podjazd na most (tak mówiło się o wiadukcie nad torami) i dalej do kościoła św. Zygmunta, kolejny nawrót i znowu pęd pod świecące prosto w oczy słońce, jeszcze po drodze mijamy stację benzynową z śmiesznie ręczną wajchą do pompowania śmierdzącej benzyny, jeszcze most, przy Kościuszki nie trzeba uważać nie ma tramwaju, jeszcze zegar Glicnera obok Klubowej przy wjeździe na plac i jeszcze jedno kółeczko, jeszcze jedno. Doskonalona był również rowerowa woltżyłka, a na nią składały się jazda bez trzymania, podrywanie przedniego koła i jazda na jednym (dziś popularna zabawa ale wtedy, na kozie – karkołomne). Ćwiczyliśmy też podejrzane na kolarskim torze (a jeszcze był taki w Częstochowie) „stójki”, bo o tak prostej ekwilibrystyce jak jazda po schodach, czy z pasażerem na kierownicy, lub dla utrudnienia dwoma a nawet trzema: jeden na kierownicy, drugi na ramie a trzeci na tylnej „szytocy” nie warto nawet wspominać. Co to była szytoca też chyba nie muszę tłumaczyć. W szczyście żużlowej mody organizowało się wyścigi wokół podwórka a na Raclawickiej, która wysypana była czarnym hutniczym „hasiem”, ćwiczyliśmy efektowne wiraże, tym bardziej efektowne im było suszej, im wzbijały się większe tumany kurzu.

Niestety na podwórku nie byliśmy sami, były jeszcze dziewczyny, a te jak to dziewczyny uprawiały swe ulubione zabawy w dom lub sklep, czy jeszcze coś podobnego. Służyły do tego całe tabuny lalek (czytaj dzieci) i to nie jakiś wychudzonych anorektycznych Barbi a normalnych celuloidowych grubiotkich i pulchnych, którym towarzyszyła cała plejada mniejszych szmacianych czy, jak kto woli, gałgankowych. Dziewczyny zajmowały schodki do klatki schodowej a nawet całe schody w klatce, go-

towały dla swoich pociech obiady, na które składała się trawka urwana na trawniku jakieś kamyczki, małe (o ile już były i spadały z drzew) kasztanki, liście kapusty przyniesione z budki warzywniczej a czasem nawet kawałek prawdziwej marchewki lub kartofla, tak właśnie kartofla, ziemniaki dopiero wchodziły do powszechnego słownika. Nigdy nie brakowało kompotów z prawdziwych stokrotek lub kwiatków mleczu. Jeszcze gorsza w skutkach była zabawa w sklep, bo wtedy całe schody i pół podwórka pełne były przeróżnych towarów, wśród których dominowały piasek, kasztany (różne w różnych porach roku), resztki traw z rachitycznego trawnika i oczywiście łebki lub, jak kto woli, kwiatuszki stokrotek. Najdziwniejsze, że stróż je tolerował, nie przeganiał, co najwyżej zamiatł cały pozostawiony kram.

Dziewczyny nie byłyby dziewczynami, gdyby nie grały w klasy, potrafiły zająć najlepszy kawałek podwórka wymarzony do gry w noża lub kopę. Rysowały jakieś dziwaczne figury (podobno był to chłop, bo gra była w chłopów) i skakały zawzięcie raz na jednej raz na drugiej nodze, czasami na dwóch, przesuwały lub rzucały kawałek (płaski) ceglówki, kiedyś miały nawet prawdziwy, przywieziony z górskiej wycieczki, otoczony przez wody górskiego potoku płaski kamień. Zasady tych gier były skomplikowane i tajemnicze, wiem że klóciły się zaciekle o to, czy któraś nadepnęła na linię, o to czy popychany czubkiem buta kamień przekroczył czy nie przekroczył zakazanej magicznej linii. A jak wyprawa prowadziły całą masę wózećków dla lalek, jak zaczęły skakać przez skakankę, to nam pozostawała tylko ucieczka na dachy lub zejście do podziemi – piwnicznych. Można też było przenieść się na sąsiednie podwórko lub uciec na koryto do parku względnie na jasnogórskie wały, a nawet i więzić.

Ale tam już kiedyś byliśmy.

Zbislav Janikowski

Od Redakcji

Z poprzedniego numeru A3 chochlik drukarski wyjadł podpisy pod fotografiąmi do materiału „Talent szuka talentu”. Czytelnicy nie dowiedzieli się więc, że autorem zdjęć jest Arkadiusz Grząś. Przepraszamy.

NOWA KOLEKCJA JERZEGO DUDY-GRACZA



Fot. Leszek Pilichowski

W Galerii Ma-larstwa i Rzeźby Muzeum Częstochowskiego (Katedralna) otwarto kolekcję obrazów Jerzego Dudy-Gracza (1941-2004) pt. „Urodziłem się w Częstochowie.”

Objemuje ona 25 obrazów udostępionych na 10 lat przez krakowską Fundacją „Conspero” oraz 6 ze zbiorów Muzeum Częstochowskiego.

„Urodziłem się w Częstochowie – mówił niegdyś Artysta. - Mieszkam na Śląsku. Maluję wyłącznie w Polsce. Bo jestem człowiekiem chorym na Polskę. Mogę żyć i pracować tylko tutaj. Gdzieś w świecie najpewniej zgłupiałbym do reszty, zmarniał i wreszcie umarł z tęsknoty. (...) Częstochowa była na swój sposób dobra i na swój sposób piękna. Dlatego pozostała moja – nigdy się jej nie wstydziliłem i nie zaparłem, bo ona przecież jest we mnie. Noszę ją w sobie, co udowadniam światem moich obrazów.”

GLORIA ARTIS

Pisarz Andrzej Kalinin, z okazji 75-lecia urodzin oraz 25-lecia pracy twórczej, odebrał prestiżowy medal „Gloria Artis”. Na jubileuszowej gali w Teatrze Stacherczaka obecni byli częstochowscy artyści i przyjaciele literata, on sam promował najnowszą książkę „Ze sztambucha starego komucha”.



Fot. Leszek Pilichowski

GÓRĄ ARCHITEKCI

„Primulus” – to konkurs na najlepsze dzieło architektoniczne zrealizowane na obszarze miasta Częstochowy, subregionu częstochowskiego oraz na terenie objętym zakresem działania Klubu Wójtów, Burmistrzów, Prezydentów i Starostów Regionu Częstochowskiego. Organizuje go częstochowskie Stowarzyszenie Architektów Polskich wspólnie z Urzędem Miasta Częstochowy.

„PRIMULUSA 2009” przyznano pracy pt.: Budynek jednorodzinny w Częstochowie, którego autorem jest arch. Jarosław Kołodziejczyk, za profesjonalną, bardzo udaną propozycję projektową i niezwykle skutecznie i konsekwentnie przeprowadzone działania realizacyjne.

Przyznano także trzy równorzędne wyróżnienia: Otrzymały je prace: Budynek mieszkalny wielorodzinny, Częstochowa ul. Jasnogórska 45 (arch. Małgorzata Berent), Galeria Sztuki „Konduktorownia” Częstochowa ul. Piłsudskiego 34/36 (arch. Irena Czerwińska, arch. Małgorzata Małasiewicz, arch. Tomasz Borowiecki), Budynek handlowo-biurowy z częścią magazynową i serwisem urzędów radiowych, Częstochowa ul. Jagiellońska 67/71 (arch. Tomasz Pęczek, arch. Jarosław Kołodziejczyk)

SŁOWEM I OBIEKTYWEM

Janusz Mielczarek, pisarz i fotografik, udatnie zaprezentował się w Domu Poezji – Muzeum Haliny Poświatowskiej.



Fot. Leszek Pilichowski

GAWĘDA O MIEŚCIE



Fot. Leszek Pilichowski

W ramach tegorocznego Tygodnia Bibliotek z czytelnikami spotkali się znani popularyzatorzy naszego miasta: Mirosław Zwoliński (Baśnie, legendy, opowieści subregionu częstochowskiego), Juliusz Sętowski (Pitaval częstochowski), Zbysław Janikowski (Moja Częstochowa).

CENTRUM WSZYSTKIEGO

Dla pożytku turystów, ale i dla mieszkańców miasta, otwarto w Częstochowie nowe Miejskie Centrum Informacji.



Fot. Leszek Pilichowski

FONTANNA

„Dziewczynka z gołębiami”, nowa fontanna w III Alei Najświętszej Maryi Panny ozdabia nasze miasto. Koncepcję plastyczną opracował Władysław Ratusiński, znany częstochowski artysta malarz. Dziewczynkę wyrzeźbiła Ewa Maliszewska, autorka figurek do oscarowego filmu lalkowego „Piotruś i wilk”. Fundatorem odlewu są Częstochowskie Wodociągi S.A., które w ubiegłym roku obchodziły 80 rocznicę działalności.



Fot. Leszek Pilichowski

KONKURSY

Parki Podjasnogórskie liderem

Za udaną rewaloryzację Parków Podjasnogórskich Częstochowa otrzymała tytuł Lidera Małopolski. Tytuł przyznaje Kapituła Stowarzyszenia Gmin i Powiatów Małopolski w ramach konkursu „Najlepsze przedsięwzięcie roku 2008 w Małopolsce”.

„Wiosna, Wiosna, ach to ty...”

Powiatowy Konkurs Plastyczno-Fotograficzny „Wiosna, wiosna, ach to ty...” zorganizowali nauczyciele Zespołu Gimnazjów im. Marszałka J. Piłsudskiego w Częstochowie przy współpracy Muzeum Częstochowskiego. Na konkurs wpłynęło ponad 200 fotografii i 10 prac plastycznych z 10 gimnazjów z Częstochowy oraz z 3 gimnazjów z powiatu częstochowskiego.

W kategorii fotografii I miejsce zajął Dawid Bugara z Gimnazjum nr 7 im. K. I. Gałczyńskiego za tryptyk „Niezwykłość zwykłej trawy”.

II miejsce - Adam Leśniak za pracę „Trawy” oraz Damian Czech „Niebieskie kwiaty”, uczniowie Zespołu Szkół w Witkowicach; III miejsce - fotografie Aleksandry Kopicik z Gimnazjum nr 14 im. Królowej Jadwigi w Częstochowie.

W kategorii prac plastycznych nagrodzono uczniów z Gimnazjum w Kłomnicach (Martyna Michoń i Eliza Chrzęszcz) i Gimnazjum nr 6 w Zespole Gimnazjów im. Marszałka J. Piłsudskiego w Częstochowie (Magdalena Pyśk i Anna Wojciechowska).

Złota Maską

Trzy tytuły z afisza częstochowskiej sceny: „Trzy siostry” Czechowa (reż. Julia Wermio), „Drugi pokój” Zbigniewa Herberta (reż. Anna Kękuś-Poks) i „Pierwszy raz” Michała Walczaka (reż. Tomasz Man) zakwalifikowano do finału konkursu o nagrodę Marszałka Województwa Śląskiego w Dziedzinie Kultury „Złota Maską” 2008.

Gazeta Rodzinna

Biblioteka Publiczna im. dr. W. Biegańskiego z okazji Dni Rodziny zaprosiła młodzież ze starszych klas szkół podstawowych i gimnazjów do uczestnictwa w Międzyszkolnym Konkursie ph. „Gazetka

dla Mojej Rodziny”. Jury postanowiło przyznać: I miejsce – Marcie Serdiuk z Gim. nr 5 (opiekunka mgr Alina Grabna), II miejsce – Karolinie Wieczorek ze SP nr 24 (mgr Ewa Domańska-Furmanek), ex aequo III miejsce – Joannie Jończyk i Piotrowi Talarkowi ze SP nr 17 (mgr Magdalena Czerwień-Kapuśniak). Ponadto wyróżniono prace: Klaudii Karolczyk i Anety Miechowskiej z Gim. nr 8 (mgr Elżbieta Segiet) oraz Katarzyny Żyłan ze SP nr 24 (mgr Ewa Domańska-Furmanek). Nagrodzonych, wyróżnionych oraz innych uczestników konkursu zaproszono także na koncert „Rodzina Pospieszalskich częstochowskim rodzinom”.

NIE TYLKO DLA WSI

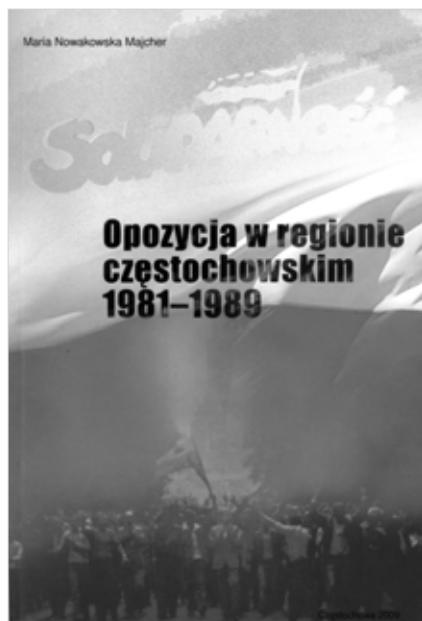
Ukazała się obszerna monografia gminy Mykałów, opracowana przez Romana Popendę. Zawiera wielką ilość informacji o życiu wiejskim w okolicach Częstochowy przed kilkudziesięcioma laty. Istotną częścią książki jest bogaty materiał ilustracyjny.



OPOZYCJA

Rocznica pierwszych wolnych wyborów parlamentarnych (4 czerwca 1989) i w Częstochowie była okazją do świętowania. W ratuszu spotkali się przedstawiciele dawnych Komitetów Obywatelskich, uczestnicy różnych organizacji opozycyjnych i niepodległościowych, skupionych wokół związku „Solidarność”. Oni pierwsi mogli zapoznać się z długo oczekiwaną publikacją – monografią częstochowskiej opozycji z lat 1981-1989.

Książka Marii Nowakowskiej-Majcher jest publikacją niezwykłą. Składa się na nią nie tylko bardzo rzetelny i drobiazgowy obraz tamtych czasów, opisany na podstawie licznych relacji i dokumentów, w tym pochodzących z archiwów domowych i archiwum IPN. To także, a może przede wszystkim, talent Autorki, który sprawił, że książka jest zarówno naukowym opracowaniem historycznym, ale i reportażem literackim wysokiej próby.



Fot. Zbigniew Burda

WOREK CZĘSTOCHOWSKI nr 14

Le Vorecą Czenstochovien

pod redakcją Janusza Piernikarskiego i Jana T. Podźdama

WIZYTÓWKA

Co widzi podróżny, kiedy przyjeżdża do Częstochowy z Krakowa i stawia stopę na peronie 1a? Widzi Konduktorowię. Siedziba Towarzystwa Zachęty prezentuje się okazale – i to jest dobra, bardzo kulturalna wizytówka naszego miasta. Natomiast ten rozciągający się wokół Konduktorowi ogromny nieużytek stanowi już wizytówkę mniej ciekawą. Powinno się nakłonić młodych speców od architektury krajobrazu, aby zainstalowali Towarzystwu Zachęty porządny ogród. Nie musi wyglądać jak park pałacowy w Łazienkach, ale już porządny skalniak to byłoby coś. Można by w miesiącach letnich urządzać garden party, a zimą – bitwy na śnieżki dla umilenia czasu podróżnym.

RZEŻBA POPULARNA W NATARCIU

Z nową inicjatywą wystąpił Lucjan Uvumbu. Chodzi mianowicie o to, by rzeźba trafiła... no, nie pod strzechy, ale do przydomowych ogródków. Uvumbu jest właścicielem zakładu, w którym produkuje ozdoby trawnika w różnych stylach, m.in. sumeryjskim, gotyckim i klasycystycznym. Odnacza się nie tylko zdolnościami biznesowymi, ale i artystycznymi. Jego najnowsza propozycja jest taka: niech częstochowscy rzeźbiarze, zwłaszcza ci najbardziej znani, wykonają limitowane serie „krasnali specjalnych”. Każdy z nich ma być utrzymany w charakterystycznym stylu dawnego artysty. Nie tylko ogródki częstochowian nabiorą splendoru, ale będzie co postawić w ogrodzie Konduktorowi.

SZTUKA CUKIERNICZA

Częstochowa otrzymała niedawno nietypowy dar. Społeczność miasteczka New Kielce w stanie Wyoming, pod kierownictwem pani Aoife Covalsky, poderzwała Naszemu Miastu tort w kształcie planu Częstochowy wielkości 15 na 15 metrów, wykonany pieczołowicie w oparciu o zdjęcia satelitarne (widać nawet skłóń gromadzących się wokół trzepaka na Rakowie). To niewątpliwie arcydzieło cukiernictwa, przysłane drogą lotniczą w kilku fragmentach i złożone na miejscu, nie wywołało jednak należytego zachwytu wśród władz miasta. Od razu pojawiło się bowiem pytanie, kto i w jakiej kolejności będzie miał prawo zjeść ten tort.

PRZEPOWIEDNIA

„Kiedy będzie koniec świata?” To pytanie przez wieki powraca jak bumerang. Niektórzy mają odpowiedź: „Kiedy w Częstochowie powstanie porządna komunikacja miejska”. Ostatnio jednak najwięcej zwolenników zdobyła teoria wyznaczająca koniec świata na 2012 rok. Zainteresowani potrafią podać nawet datę dziennej – 21 grudnia. Tymczasem licencjonowana wróżka Skleńczyma Lilboche przepowiedziała, że koniec świata odbędzie się w Garwolinie. No i znowu jesteśmy na uboczu.

Z OPERETKI

W Operetce Częstochowskiej nastąpiły dramatyczne zmiany personalne. Józef Cudzołek-Bachleda zwolnił dyrektora artystycznego Zenona Raroga i sam przejął jego obowiązki. Oficjalnie przyczyną rozstania Raroga z operetką są „różnice artystyczne”. Nieoficjalnie mówi się zaś o przeroście ambicji obu dyrektorów i o wynikłym z tego starciu. Przeprowadziliśmy wywiad z byłym dyrektorem artystycznym, który niebawem ukaże się na naszych łamach (kiedy tylko po raz piętnasty przejdzie autoryzację). Tymczasem, pomimo tej zmiany, na deski Operetki trafił spektakl przygotowany jeszcze przez Raroga (o czym, rzecz jasna, nie ma ani słowa w materiałach promocyjnych), czyli opera „Edgar Bux, dusiciel z Hampton”.

TRUCICIEL ZA KRATKAMI

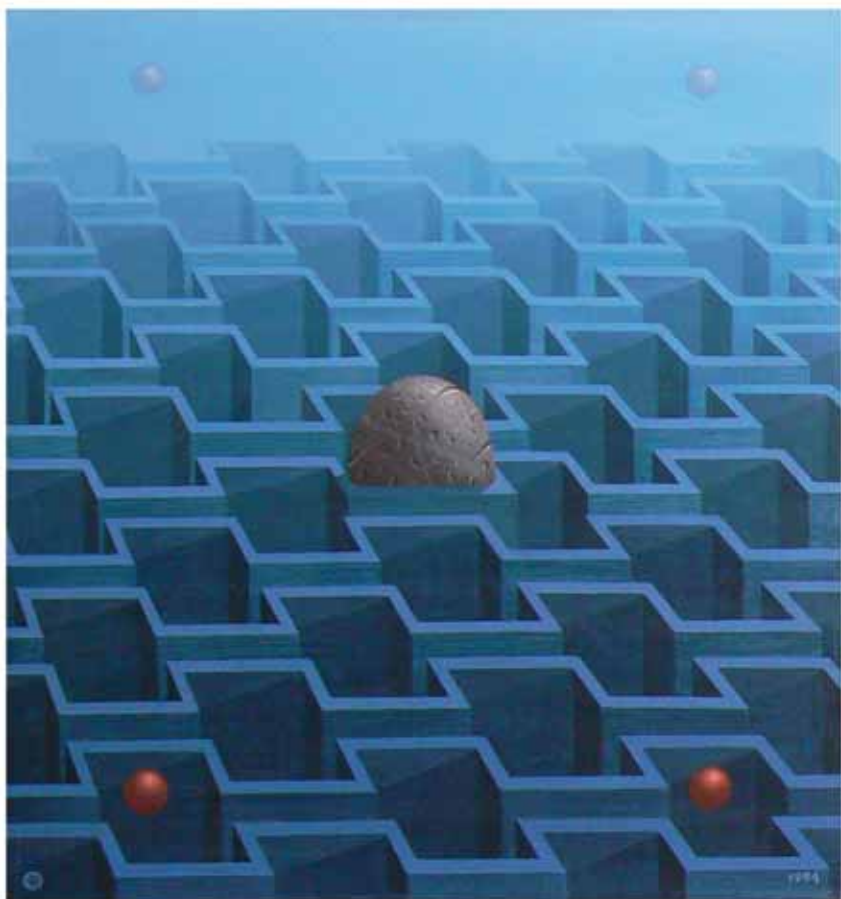
Policja odnotowała kolejne osiągnięcie. W Bydgoszczy aresztowany został prezydent radiowy Czesław Pitirimiuk, odpowiedzialny za psucie gustu muzycznego tysięcy słuchaczy. Na razie nie wiadomo, ile zarzutów zostanie mu postawionych. Nasze prawo, niestety, nie przewiduje kar za zbrodnie przeciw dobremu smakowi, więc należy się cieszyć choćby i tym, że delikwent wpadł za piractwo fonograficzne, łamanie ustawy o wychowaniu w trzeźwości oraz parkowanie „na kalekach”. W każdym razie sprawiedliwość stało się zadość.

CO SIĘ WYDAJE

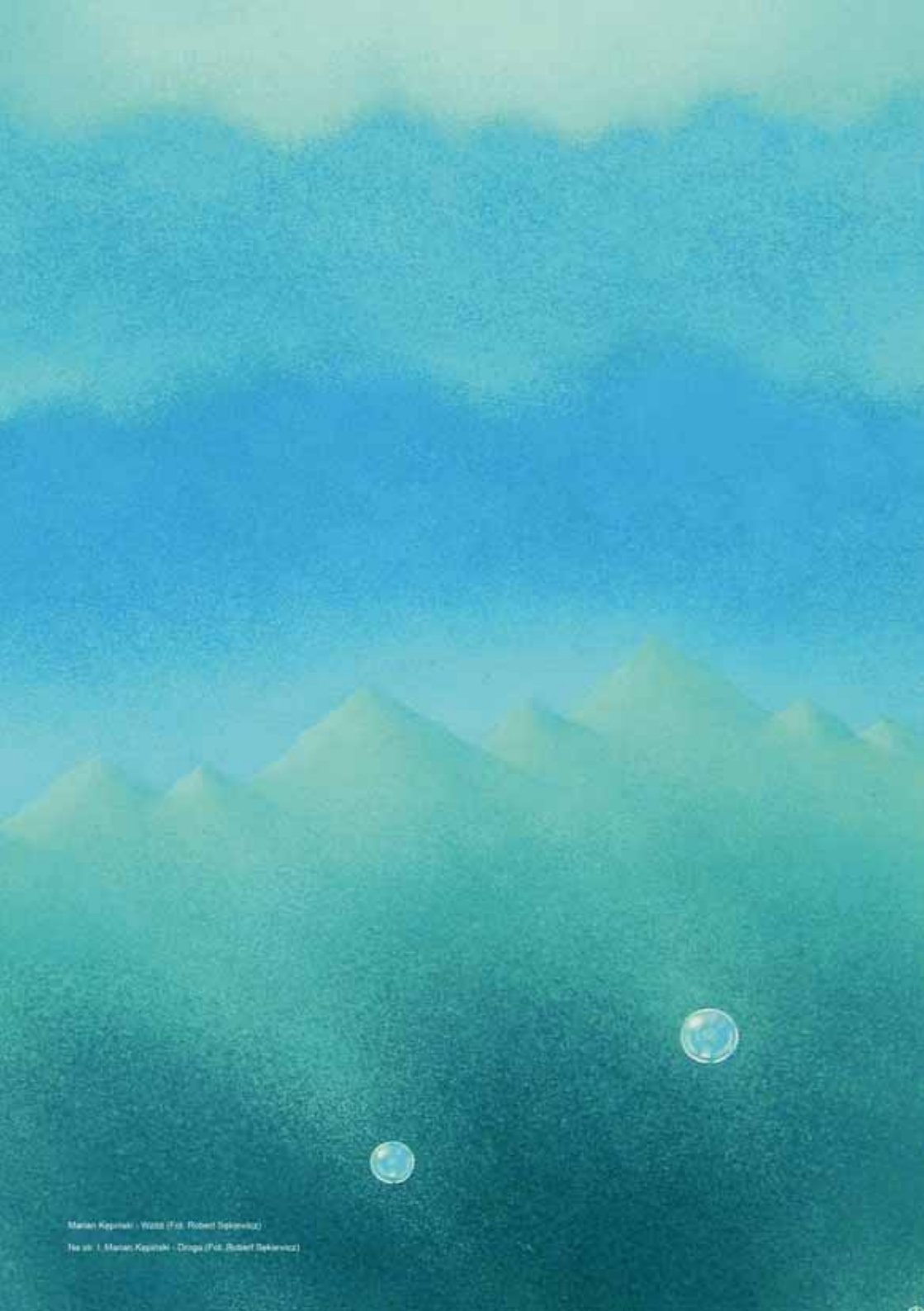
W wydawnictwach ciągle ruch. Józef Reywaszko, znany w pewnych kręgach aktor filmowo-telewizyjny, wydał autobiografię zatytułowaną „Zupa ogonowa. Wyznania aktora epizodycznego”. Drugą interesującą pozycją jest „Wanna emaliowana szt. 3” pod redakcją Jonasza Grysiaka – zbiór kilkudziesięciu dokumentów ze sklepu, w których pomiędzy suchymi spisami rzeczy, nazwiskami dostawców oraz liczbami egzemplarzy sprzedanych, zwróconych i strat mieszczą się niezwykle historie, emocje, konflikty i namiętności. Nawet w spisie towaru może się kryć poezja.

SPOTKANIA NA PELENGOWEJ

Centrum Studiów Artystycznych „Neshoma” przy ul. Peleńgowej 15 proponuje kolejne zajęcia dla młodych artystów. 13 czerwca dr Maciej Abulafia z Centrum Wspierania Alkoholików wygłosi wykład „Choroby zawodowe artystów”, natomiast 29 czerwca odbędą się zajęcia „Jak robić dywersję wśród celebrytów”, które poprowadzi Bartosz E. Zbożny, dziennikarz radia Podziemny Głos Losia.



Marian Keprňski - Labirynt



Marian Kapinski - Wzrost (Fot. Robert Szlachetka)

Tężeń - I. Marian Kapinski - Droga (Fot. Robert Szlachetka)